Stefan Żeromski

# PUSZCZA JODŁOWA

WYDAWNICTWO „DOM KSIĄŻKI"

Projekt okładki i stron tytułowych
Hanna Stańska

Redaktor
Stanisław Nyczaj

Redaktor techniczny
Andrzej Jędraszczak

Korektor
Monika Henke

Wydawnictwo „Dom Książki"
Kielce 1989
Wydanie pierwsze. Nakład 59.650 + 350 egz.
Ark. wyd. 2,5. Ark. druk. 3
Papier offset. kl. III 90 g, 61 × 86 cm
Oddano do składania w październiku 1987 roku
Podpisano do druku w marcu 1989 roku
Skład: Prasowe Zakłady Graficzne, Łódź
Druk: Prasowe Zakłady Graficzne, Kielce, ul. Sienna 2
Zam. nr 64/88 , R-5.

**ISBN 83-7048-010-1**

© Copyright by Zdzisław Jerzy Adamczyk, Kielce 1989

# Wstęp

W ostatnich latach życia Stefana Żeromskiego w jego twórczości odezwał się nowy, niezwykły ton. Powstało wówczas kilka utworów zupełnie innego rodzaju, utworów zaskakujących i tematyką, i osobliwym, „nieliterackim" charakterem i kształtem artystycznym.

Mowa tutaj nie o tekstach publicystycznych, choć Żeromski był wówczas bardzo czynny jako publicysta, lecz o utworach z pogranicza nowelistyki i autobiografii. O kilku ni to opowiadaniach, ni to wspomnieniach, osobistych i jakoś prywatnych, o utworach, w których pisarz zdawał relację z pewnych nieważnych, zwyczajnych zdarzeń ze swego życia, a komentując owe zdarzenia wyrażał opinie o sprawach szczególnie go wówczas nurtujących.

Jeśli w wystąpieniach publicystycznych (tak jak wcześniej w powieściach, nowelach i dramatach) z reguły podejmował ważne, aktualne, gorące problemy życia narodowego i społecznego, to w charakteryzowanym tutaj nurcie utworów „prywatnych" zwracał się ku kwestiom bardziej uniwersalnym i ostatecznym; mówił o sensie życia i o naturze człowieka, o fenomenie istnienia i o tym, co w nim najpiękniejsze i najcenniejsze. Jakby odrzucając obowiązujące w beletrystyce konwencje i reguły gry z czytelnikiem, zwierzając się i gawędząc, ujawniając siebie (narracja w pierwszej osobie) – opowiadał o swoich uczuciach i przemyśleniach. Tak, jak gdyby zdawał sobie sprawę, że przybliża się już do kresu, i pragnął pozostawić tym, co zostaną, testamentowe przesłanie, przekazać im swoje doświadczenia, nauki i wnioski wyprowadzone z całego życia.

Zapewne nieprzypadkowo ostatni z zaplanowanych przez Żeromskiego tom nowel miał nosić tytuł *Elegie*. Autor nie zdążył już przygotować go do druku. Ale ton elegijny – refleksyjny, osobisty, testamentowy – słychać i w utworach nie przeznaczonych do tego tomu; pobrzmiewa on w wielu tekstach Żeromskiego napisanych po roku 1920.

Można do nich z pewnością zaliczyć opowiadanie *Pomyłki* (otwierające tom pod tym samym tytułem), które w warstwie fabularnej jest właściwie sprawozdaniem z pewnego spaceru, jaki narrator odbywa w towarzystwie dziecka i psa, spaceru zakończonego niespodziewanym odkryciem pola bitwy i mogiły żołnierskiej z 1914 roku. Fabuła – nikła, roztopiona w pełnych zachwytu opisach urody świata, urzekającego piękna przyrody, jest w tym utworze tylko pretekstem do wypowiedzenia refleksji o tragizmie polskiej historii, przede wszystkim jednak – do gwałtownego, namiętnego oskarżenia przemocy, wojny, zabijania, niszczenia.

Podobna w charakterze jest *Wilga* (jedyny utwór, jaki Żeromski zdążył napisać do tomu *Elegie*), opowiadanie o pewnym letnim poranku na wsi, gdy narrator obserwuje śpiącą jedenastoletnią córkę, wsłuchuje się w odgłosy budzącej się do życia przyrody i rozmyśla o fenomenie dzieciństwa, dziecięcego pojmowania życia. I tutaj fabuła – w sensie zdarzeń – jest bardzo uboga; w *Wildze* właściwie nic się nie dzieje. Utwór jest jakby hołdem składanym czystości i spontaniczności dziecięcego stosunku do świata, stosunku nie skażonego jeszcze przez czas, doświadczenie, wy-

rachowanie. W refleksjach narratora, formułowanych wprost, na sposób publicystyczny, choć jednocześnie bardzo lirycznych, uderza jakaś pokora, jakieś zawstydzenie – płynące ze świadomości, że dziecko, tylko dziecko, istota ufna, naiwna, bezinteresowna może żyć w pełnej harmonii z przyrodą, ulec jej bogactwu i krasie. I że nieubłagany czas każdemu odbiera tę ufność, naiwność, spontaniczność i czystość uczuć.

W charakteryzowanym tutaj nurcie mieści się *Wybieg instynktu* – wspomnienie pisarza z kieleckich czasów szkolnych, opowieść o tym, jak to przed laty udało mu się zmylić szpiclującego uczniów pedagoga, opowieść zawierająca pochwałę instynktu samozachowawczego, działań odruchowych, bezwiednych, nie kontrolowanych intelektualnie, nie poprzedzonych namysłem.

W utworach tych wyraziście doszedł do głosu podziw dla witalnych sił człowieka i jego prawdziwej natury – nie popsutej jeszcze przez czas i doświadczenie. Przebija z tych utworów zachwyt nad bogactwem, różnorodnością i potęgą przyrody, pragnienie poddania się jej bujnej fali i gorzki smutek człowieka starego, któremu czas odjął możność spontanicznego zanurzenia się w życiu. Jeśli i we wcześniejszych utworach Żeromskiego niekiedy ujawniało się coś z takiego stosunku do życia, to chyba tylko w kreacji niektórych postaci literackich. Tutaj wyniesiony on został do rangi niemal filozoficznego przesłania, testamentu, wniosku z całego życia.

*Puszcza jodłowa* ma podobny charakter, jest jednak od tamtych utworów znacznie bogatsza.

Jest to tekst, który wymyka się wszelkim próbom klasyfikowania, który nie mieści się w żadnym z tradycyjnych gatunków literackich. Jest bowiem *Puszcza jodłowa* jednocześnie utworem wspomnieniowym, przywołaniem czasów szczęśliwego dzieciństwa autora w Górach Świętokrzyskich, jest esejem historycznym poświęconym tymże górom, jest pełnym zachwytu i pokory hymnem na cześć potęgi przyrody, jest testamentowym przesłaniem steranego życiem człowieka, który następcom przekazuje najistotniejsze prawdy i sekrety.

Tym, co spaja i scala te tak różne sprawy, tak różne płaszczyzny tematyczne, jest bardzo osobisty charakter utworu, bardzo osobisty stosunek do opisywanych miejsc i opowiadanych zdarzeń.

*

Chyba najbardziej uderzające są w *Puszczy jodłowej* skłonności autora do pewnej idealizacji czy wręcz do mitologizowania własnego dzieciństwa i miejsc, w których dzieciństwo spędzał.

Mitologizacja obejmuje jednakowo – i miejsce, i czas. Z zadumą, rozrzewnieniem i żalem wspomina pisarz swe kąpiele w najczystszych rzekach, swe wędrówki pod najczystszym niebem, wśród przyrody świeżej, dziewiczej i dzikiej. Gdy opowiada o swych latach chłopięcych, wyraźnie stylizuje siebie na dziecko natury – szczere, zdrowe i czyste jak sama natura, jak cała Świętokrzyska Kraina, jak góry, lasy i wody – i jak tutejsi ludzie. W tej autobiograficznej opowieści Świętokrzyskie Góry osiągają majestatyczną niemal wyniosłość, nieprzebyte knieje i ostępy oddzielają tę krainę od reszty świata, toteż i ludzie, którzy tutaj przed laty osiedli, muszą być surowi, prości, może nawet pierwotni, ale przez to autentyczni, naturalni, nie popsuci przez nowoczesność i cywilizację.



Tacy są teraz i tacy byli niegdyś, mitologizacja obejmuje bowiem także przeszłość.

Kraina Świętokrzyska, Kraina Szczęśliwego Dzieciństwa Autora ma historię prawie baśniową. To tutaj właśnie miał swoją siedzibę wszechmogący pogański duch Świst-Poświst, ciągle mieszkają tu stare bóstwa domowe, leśne i polne, tutaj wznosili kościoły pierwsi polscy królowie, tutaj z łukiem i oszczepem polowali potężni książęta i rycerscy biskupi, w leśnych szałasach mieszkali mnisi-eremici, a po puszczy chadzał i chadza święty jeleń.

Tak niedostępna i czysta, tak naznaczona historią Kraina Świętokrzyska ukazuje się w *Puszczy jodłowej* jako rdzeń i centrum polskości i polszczyzny, jako źródło najwyższych wartości narodowych i ludzkich. Jej dzieje wysnuwa pisarz z miejscowych podań i legend, odczytuje z bezimiennych mogił, z posągu rycerskiego co roku bielonego wapnem przez zakonnice ze Świętej Katarzyny, z anonimowych inskrypcji w przydrożnych kapliczkach. Każdego dnia i w każdym miejscu przeszłość patrzy na niego z ziemi. Historia żyje z ziemią, z przyrodą w jakiejś osobliwej symbiozie, w jakimś nierozerwalnym splocie.

Wydaje się, że *Puszcza jodłowa* odsłania bardzo istotną cechę osobowości twórczej i twórczości Żeromskiego, że – wskazując na źródła jego niezwykłego stosunku do przeszłości i do ziemi – może stanowić swoisty komentarz, swoiste *postscriptum* do niejednego z jego wcześniejszych dzieł.

Pisząc o swych pierwocinach literackich Żeromski wspominał tutaj:

„Układałem dramaty, już wówczas niesceniczne i chybione, z powstańczych legend tego zapadłego kraju, gdzie jeszcze był nie wytchnął ślad stopy skrwawionej pokonanych bojowników – gdzie jeszcze ściany przydrożnej austerii czarne były od kul i podziurawione jak rzeszoto, a każdy człowiek dojrzały, co krwawe czasy przeżył, tylko o nich mówił, kładł je w moje uszy jak do składu – a czasem tym dzielił na części swe życie przed i popowstaniowe. Układałem nie skończone i, oczywiście, źle zbudowane powieści o chłopie Marku z Krajna, co w powstaniu własną swoją, chłopską partią dowodził, i wyciągałem epos o przeklętym i wyklętym zdrajcy z tejże wsi – Janicu – co za wydanie spisku Ściegiennego – chwały naszych czarnych lasów – ordery, pięć kolonii w nagrodę otrzymał, a sam rozpił się, na dziada zeszedł i w przydrożnym sypiał rowie".

Żeromski poznawał historię nie z ksiąg i dokumentów, docierała do niego nie w uogólnionym, abstrakcyjnym kształcie, jaki nadają jej badacze. Dzieje przemawiały do niego ze starych kościołów, drzew i grobów, wyłaniały się z tragicznych losów wielu znanych mu i bliskich ludzi, były ciągle obecne w pamięci pokoleń. Obcowanie z tak poznawaną przeszłością związane było zawsze z ważnym osobistym doświadczeniem, miało charakter prywatnego, intymnego przeżycia.

Toteż ziemia, naznaczona i nasycona historią ziemia jawi się w wielu utworach Żeromskiego nie tylko jako niezniszczalny pomnik dziejów, ale także jako trwała i ważna wartość narodowa.

Gdy drugi człowiek może zranić i oszukać, gdy ludzie zawodzą i zdradzają, nie zawiedzie i nie zdradzi – ziemia. To ona – surowy świadek historii – przyjmuje w siebie, przechowuje i oddaje po latach to wszystko, co w naszych dziejach było najpiękniejsze i najcenniejsze.

W *Nokturnie*, gdy wśród współczesnych sobie narrator znajduje tylko egoizm, tchórzostwo i zdradę – szacunek dla własnego narodu pozwala mu ocalić w sobie właśnie napiętnowana historią ziemia. Polska ziemia na stokach warszawskiej Cytadeli, ziemia, która wchłonęła łzy, krew i ciała wielu poległych tu i straconych Polaków.

W *Wiernej rzece* ziemia, a raczej woda, wierna woda rzeki Łośnej przyjmuje w swe łono krew rannego Odrowąża, torbę Huberta Olbromskiego z tajemnicami powstańczego rządu narodowego, a w końcu także zamknięte w złotych pieniądzach upokorzenie i cierpienie Salomei Brynickiej. Przyjmuje w siebie krew, sekrety i cierpienia, by je ukryć i na zawsze przechować.

W *Urodzie życia* ziemia zwraca poczucie polskości Piotrowi Rozłuckiemu, gdy rozkopuje bezimienną mogiłę swego ojca-powstańca.

Ziemia przyjmuje więc, a potem oddaje powierzone sobie skarby, oddaje je po latach, tak jak Piotrowi Rozłuckiemu oddała ojca, jak pisarzowi opowiedziała w *Puszczy jodłowej* mitologiczne dzieje jego krainy.

*

Specyficzny, niezwykle osobisty ton utworu Żeromskiego zadecydował o charakterze obecnego wydania.

Za życia pisarza *Puszcza jodłowa* drukowana była w *Almanachu „Biblioteki Polskiej"* w końcu roku 1924, chociaż z datą na okładce: 1925. W oddzielnym wydaniu książkowym ukazała się w roku 1926, a więc już po śmierci Żeromskiego. Analiza tych dwu publikacji skłania do przypuszczenia, iż ani w jednym, ani w drugim wypadku autor nie kontrolował druku, to znaczy nie robił korekty, nie sprawdzał tekstu przed puszczeniem go w czytelniczy obieg. W *Almanachu „Biblioteki Polskiej"* wkradło się do *Puszczy jodłowej* kilkanaście przykrych błędów, wynikających m.in. z niewłaściwego odczytania rękopisu. W wydaniu książkowym część tych błędów poprawiono, wprowadzono jednak kilka nowych pomyłek.

Na szczęście ocalał autorski czystopis *Puszczy jodłowej*. Jeszcze w okresie międzywojennym trafił on do Biblioteki Uniwersyteckiej we Lwowie, szczęśliwie przetrwał czasy wojny i dziś znajduje się w bibliotece lwowskiego Uniwersytetu im. Iwana Franko (sygnatura II. 1414). Autograf składa się z 9 kart papieru białego w linię formatu 27 x 22,8 cm, zapisanych obustronnie atramentem fioletowym i spaginowanych ręką autora. Zachowany w bardzo dobrym stanie rękopis ten jest na tyle staranny i wyraźny, że można go – w wersji fototypicznej – oddać do czytania rzeszom miłośników twórczości Żeromskiego.

W obecnym wydaniu *Puszcza jodłowa* otrzymuje postać jakby mniej oficjalną, jakby na poły prywatną. Tekst utworu może przemówić do czytelnika nie tylko bogactwem wyobraźni i potęgą słowa Żeromskiego, ale także charakterem jego pisma, autorskim namysłem i wahaniem, o którym świadczą widoczne w rękopisie momenty zatrzymania pióra, nieliczne skreślenia i poprawki, przeróbki i zmiany tekstu.

Niechaj zatem przemówi.

Zdzisław J. Adamczyk



# PUSZCZA JODŁOWA

# Puszcza jodłowa

Panu Aleksandrowi Janowskiemu
wyraz braterskiej czci

*W uszach moich trwa szum twój, lesie dzieciństwa i młodości – choć tyle już lat nie dano mi go słyszeć na jawie! Przebiegam w marzeniu wyniosłe góry – Łysicę, Łysiec, Strawczaną, Bukową, Klonową, Stróżnę – góry moje domowe – Radostową i Kamień – oraz wszystkie dalekie siostrzyce. Nie ja to już, człowiek dzisiejszy, wciągam zdrowymi płucami tameczne powietrze, kryształ niewidzialny, niezmierzone, nieskazitelne, przeczyste dobro – zimne, nie skalane oddechem, zgnilizną, brudem, pyłem – lecz ktoś inny, kogo już dawno nie ma, młodzieniec, który niegdyś w mym jestestwie przebywał. Nieraz mi się wydaje, że go wcale nie było, że to po prostu jedna ze zmyślonych figur, które wynajdywać w nicości, tworzyć, kształtować i pokazywać ludziom za pomocą pisaniny było moją manią od dzieciństwa – że to Rafał albo inny jaki bujał niegdy tamoj po górach. Tamten ja, miniony i nie istniejący, z bronią na ramieniu, nachyla się nad burzliwą, kipiącą wieczyście wodą źródła świętego Franciszka i przegląda się w jego czystej powierzchni, czystej jak łza, ażeby ze swego odbicia czynić wnet przedmiot baśni, bohatera, postać nie istniejącą a najbardziej bliźnią, quidam tajemnicze, byt dwunogi, godny wieloaktowego dramatu albo godny epopei w dziesięciu pieśniach. Tamten siaduje nad brzegiem wartkiego strumienia, co ze źródła świętego Franciszka wybiega, co śmiga w dół i snuje się po kamieniach.*



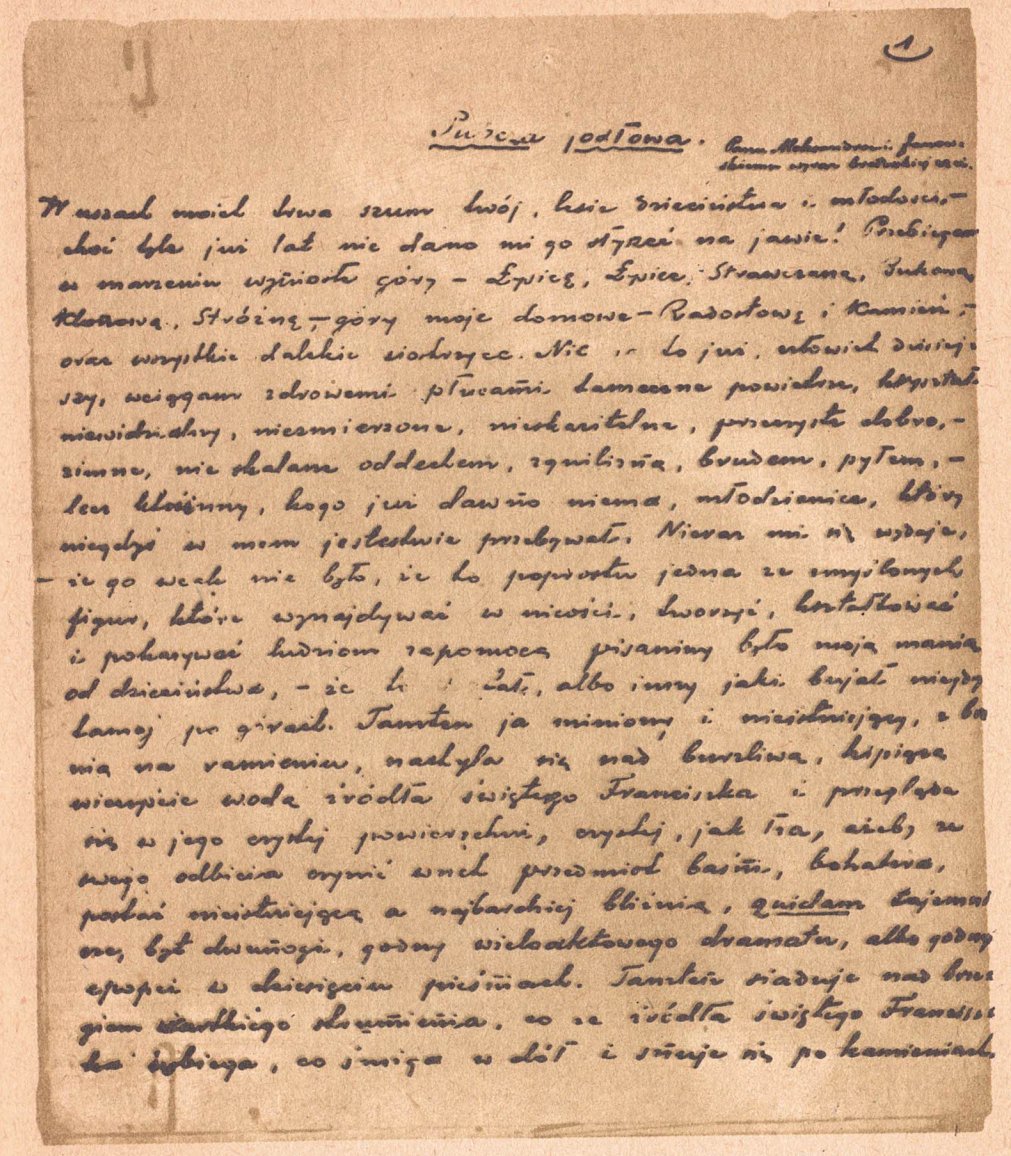

*Tamten wysłuchał, jaki to puszcza szeroka wydaje głos za wiatrem przypadającym i odchodzącym, a mnie o tym przez całe moje nędzne życie podaje wieść.*

*Znawcy dziejów ziemi, co jak niedosięgłe krety bobrują po warstwicach skorupy, latają niczym ptaki po lądach i morzach przeddziejów, a skaczą po tysiącleciach chyżo i pewnie, wmawiają we mnie, że zburzyszcze na szczycie Łysicy, osędziałe od mchów, utkane paprocią i kwieciem, że kwarzec świetlisty od miki i połyskliwy od górskiego kryształu, co w szczycie pasma zalega – tai w sobie odgnioty wielkookich raków morskich, zagrzęzłych ongi w piachach tego przed wiekami wybrzeża oceanu Północy. Tak jest, czy inaczej – niechże oni zajmują się tymi pośmiertnymi raków dziejami. Ja śmierci nienawidzę. Uwielbiam nowe życie tej krainy, choćby ta jego nowość sięgała pierwszego porostu trawy morskiej na tym raczym cmentarzu.*

*Widzę jeszcze dziecięcymi oczami wielkie raki żywe, stwory czarne o formie dziwacznej, straszącej wyobraźnię dziecięcą, jak suną po jasnym, gliniastym dnie potoku, co z mej góry rodzinnej spada w rozpędach, zakrętach, półkolistych obiegach i nagłych w dół popławach. Soczyste nad nim trawy, kaliny, tarki, wilcze łyko i bujne łodygi, wewnątrz puste, wielkimi liśćmi nakryte, których pień, łyczkiem cienkim obciągnięty, tak się świetnie nadaje do wciągania w usta lodowatej wody ze źródła, wody, co łupie w zębach. Zarośla, z brzegu na brzeg przerzucone, splatają się między sobą. Chmiel je obwija, a przetykają*



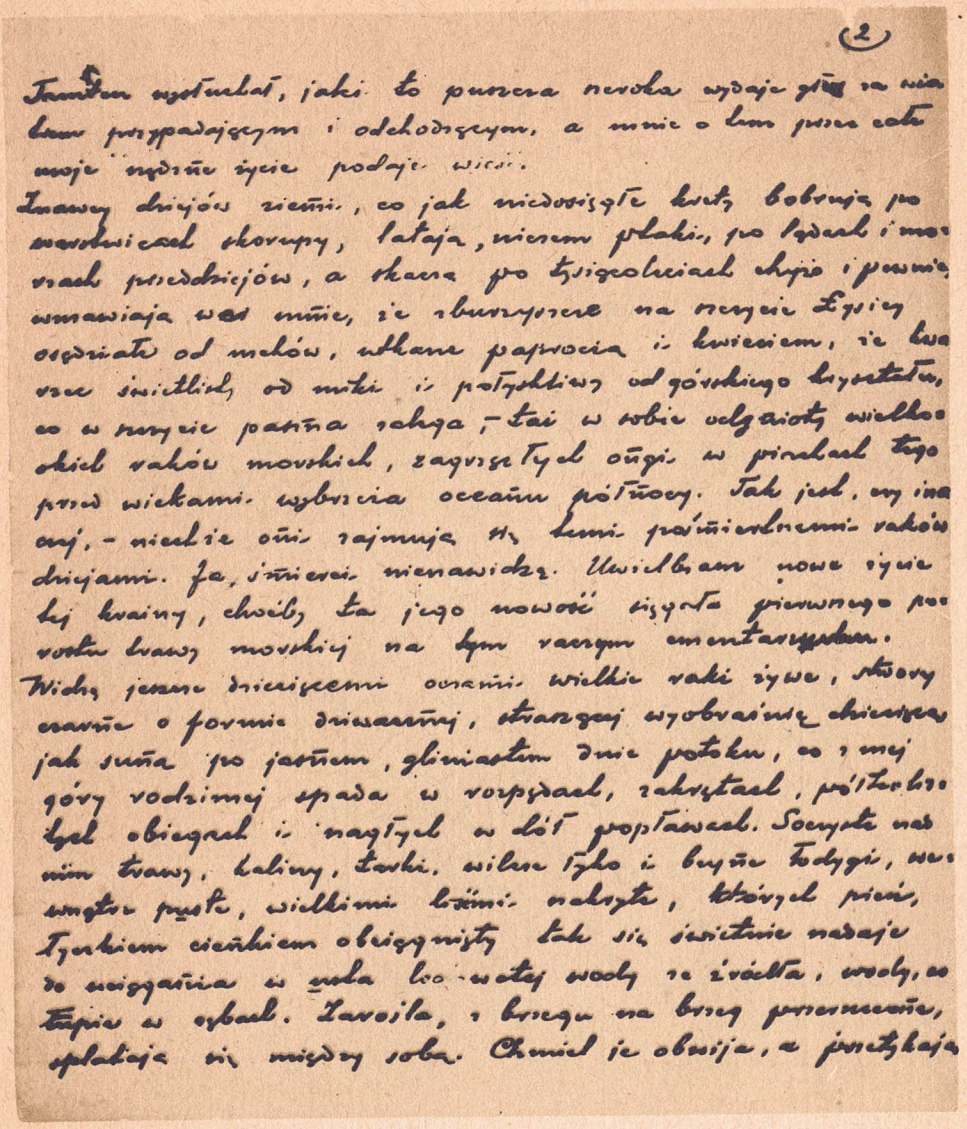
(2)

Tamten wysłuchał, jaki to puszcza szeroka wydaje głos za wiatrem przypadającym i odchodzącym, a mnie o tym przez całe moje nędzne życie podaje wieść.

Znawcy dziejów ziemi, co jak niedosięgłe krety bobrują po warstwicach skorupy, latają, niczym ptaki, po lądach i morzach przeddziejów, a skaczą po tysiącleciach chyżo i pewnie, wmawiają we mnie, że zburzyszcze na szczycie Łysicy, osędziałe od mchów, utkane paprocią i kwieciem, że kwarzec świetlisty od miki i połyskliwy od górskiego kryształu, co w szczycie pasma zalega, – tai w sobie odgnioty wielkookich raków morskich, zagrzęzłych ongi w piachach tego przed wiekami wybrzeża oceanu północy. Tak jest, czy inaczej, – niechże oni zajmują się tymi pośmiertnymi rakowymi dziejami. Ja, śmierci nienawidzę. Uwielbiam nowe życie tej krainy, choćby ta jego nowość sięgała pierwszego porostu trawy morskiej na tym raczym cmentarzysku.

Widzę jeszcze dziecięcemi oczami wielkie raki żywe, stwory czarne o formie dziwacznej, straszącej wyobraźnię dziecięcą, jak suną po jasnym, gliniastym dnie potoku, co z mej góry rodzinnej spada w rozpędach, zakrętach, półkolistych obiegach i nagłych w dół popławach. Soczyste nad nim trawy, kaliny, tarki, wilcze łyko i bujne łodygi, wewnątrz puste, wielkimi liśćmi nakryte, których pień, łyczkiem cienkiem obciągnięty tak się świetnie nadaje do wciągania w usta lodowatej wody ze źródła, wody, co łupie w zębach. Zarośla, z brzegu na brzeg przerzucone, splatają się między sobą. Chmiel je obwija, a przetykają

*leśne maliny. Srokosze w ich gęstwinie kują swe dzwonne pieśni, a zatajona kędyś kukułka bawi się w chowanego z rozbawioną, z rozigraną dziecięcą duszą. Czarne cienie jodeł kołyszą się rytmicznym tanem na wiosennej murawie, bezmiarem kwiatów zasłanej. Wielorakobarwne, nakrapiane i pisane motyle latają z miejsca na miejsce, jakby szukały tego tajnego schowania, gdzie się kukułka ukryła. Dzwonny szmer ponika wyrywa się z łożyska, chcąc się do zabawy przyłączyć, lecz żywe jego wody, porozdzierane przez głazy na liczne strumienie, muszą uciekać, uciekać w dolinę. Migocą tam w słońcu, mienią się, połyskują, błyszczą – obraz wieczny jedynego prawdziwego szczęścia, istotnej, niepodzielnej i skończonej radości życia. O potoku, potoku, gdzieżeś to poniósł, gdzieżeś to podział tamte wody!...*

*Zaznajomiłem się był dobrze w ciągu wielu młodości lat z wodami żywymi tej leśnej Nidy, co się z czystych potoków w bujną rzekę rozrasta. Obejmowała mię niegdyś przychylnym, lodowatym ogarnięciem, gdym się w jej czarne głębie ufnie rzucał po twardym, po kamiennym śnie, skoro tylko świt za szczytem Łysicy niebo zrumienił. Nosiła mię na łonie swym jak dobra matka, gdym pływał stojąc, na wznak, na piersiach i na bokach. Wyrzucała mię z wnętrza swego na powierzchnię siłą potężną głębiny niezgruntowanej, najeżonej rosochatymi kłodami drzew puszczy ongi zwalonych, w dno wrosłych – gdym zbyt długo nurkiem po jej tajnikach chodził.*



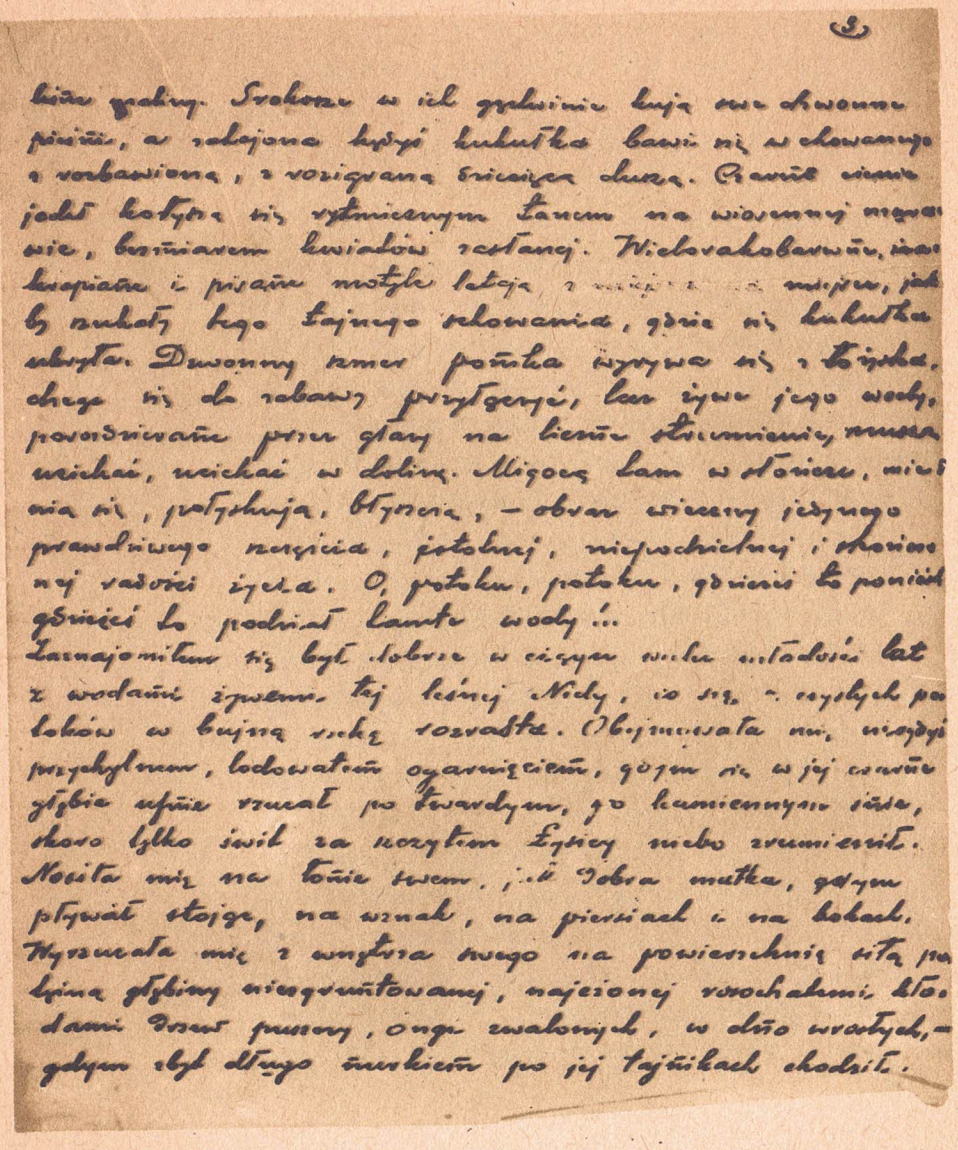

*Znałem się wówczas na obyczajach i naturze ryb, na chytrości, mądrości i instynkcie dzikich kaczek, cyranek, bekasów, kurek wodnych, grzywaczy i jastrzębi. Przeszpiegami i chytrością ludzką odpowiadałem na przeszpiegi i obronne sposoby rogaczy, lisów i zajęcy. Byłem myśliwcem i rybakiem – z nazwy zresztą bardziej niż ze skutecznego efektu łowieckich zabiegów. Byłem bowiem największym (bo jedynym) na całe Świętokrzyskie Góry poetą udającym myśliwca i rybaka. Miałem w sobie lekkość lisa, nogi jelenie i jak gdyby skrzydła bekasa u ramion. Pisałem swe marne wiersze w lasach i wertepach – w ciągu długich letnich deszczów pod cieniem olchy obwisłej w nadnidziańskim smugu – pod daszkiem brogu na wilkowskim ugorze – oraz w leśnych kapliczkach obok klasztoru Świętej Katarzyny.*

*Układałem dramaty, już wówczas niesceniczne i chybione, z powstańczych legend tego zapadłego kraju, gdzie jeszcze był nie wytchnął ślad stopy skrwawionej pokonanych bojowników – gdzie jeszcze ściany przydrożnej austerii czarne były od kul i podziurawione jak rzeszoto, a każdy człowiek dojrzały, co krwawe czasy przeżył, tylko o nich mówił, kładł je w moje uszy jak do składu – a czasem tym dzielił na części swe życie przed i popowstaniowe. Układałem nieskończone i, oczywiście, źle zbudowane powieści o chłopie Marku z Krajna, co w powstaniu własną swoją, chłopską partią dowodził, i wyciągałem epos o przeklętym i wyklętym zdrajcy z tejże wsi – Janicu – co za wydanie*



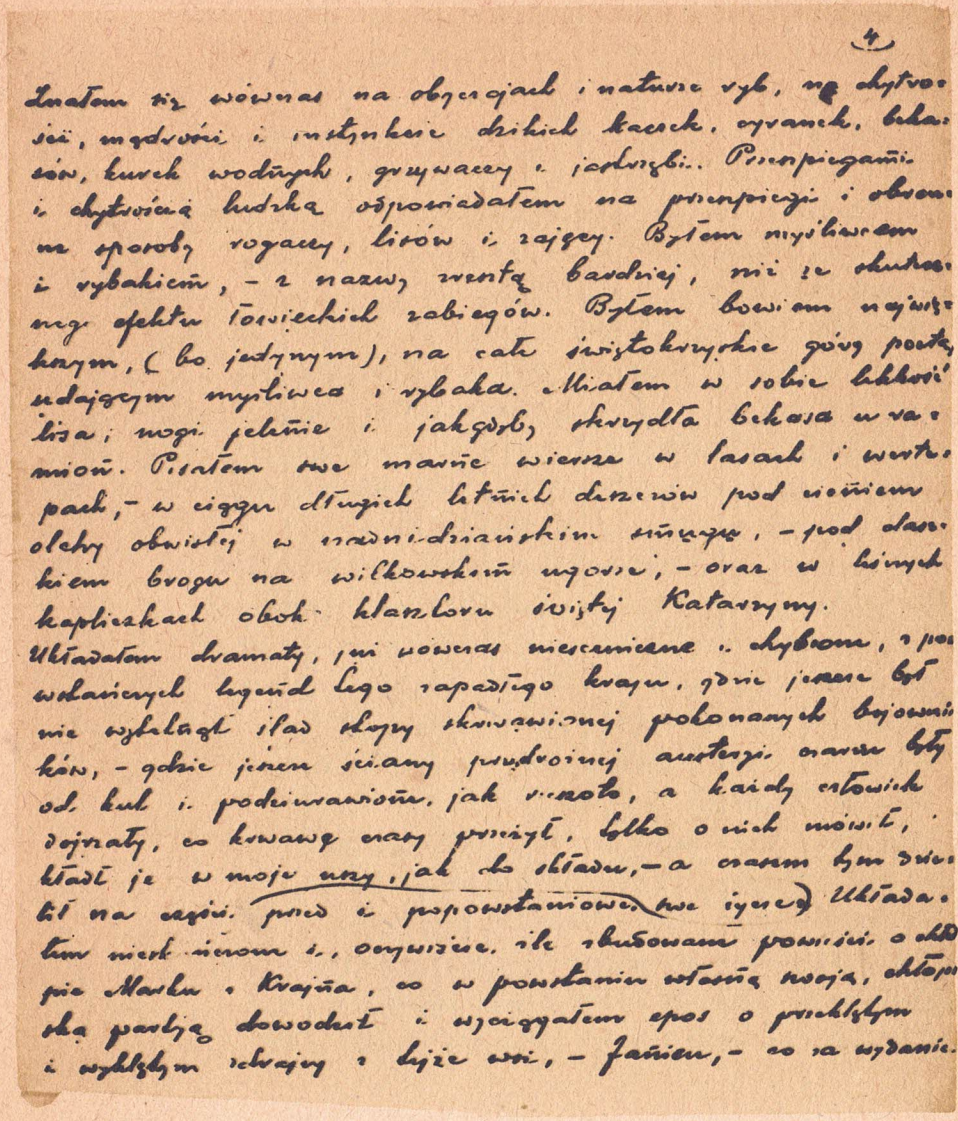

*spisku Ściegiennego – chwały naszych czarnych lasów – ordery, pięć kolonii w nagrodę otrzymał, a sam rozpił się, na dziada zeszedł i w przydrożnym sypiał rowie.*

*Widzę cię we wspomnieniu, świątyńko mała, dawnego eremity domku, kołysko moich żal się Boże! – poezji...*

*Otoczona ze wszech stron płotem z żerdzi jodłowych, stoisz pośrodku łąki pachnącej. Drzwi twe dawno spróchniały, zamek ich zardzewiał i już nie spaja połowic.*
*Wiatr, nie znoszący tajemnicy i zamknięcia, rozwalił je we dwie strony, przyparł do ścian i raz na zawsze otworzył. Zgniły i zapadły się drzwi w podłodze, prowadzące do sklepu pod ziemią. Oglądaj każdy, ktoś ciekaw, co tam jest w głębi! Leżą na dnie wyschłe, suche, w zbutwiałej trumnie zwłoki niewiadomego polskiego rycerza. Jest to może ten sam rycerz, co na żelaznej pięści podparty, a przyłbicę zamczystą mając u wezgłowia, śpi na marmurowym pomniku w starym klasztornym kościele Świętej Katarzyny. Ten sam to może, którego życie, łacińskim wysławione opisem, siostry zakonne w chwalebnej gorliwości o czystość świątyni rokrocznie na Godne Święta malują wapnem od góry do dołu tak porządnie i skutecznie, iż z peanu sławy rycerskiej widać jedynie liczne, lecz nieczytelne wgłębienia, a i sam rycerz wraz ze swą epopeją w wapienną bryłę się zmienił i stał niejako podwaliną niemej ściany.*
*W kapliczce leśnej można pewno i dziś jeszcze czytać napisy po ścianach, ostatni raz bielonych – na szczęście! – przed powstaniem. Jeden z nich, wyryty jakimś ostrzem, głosił*



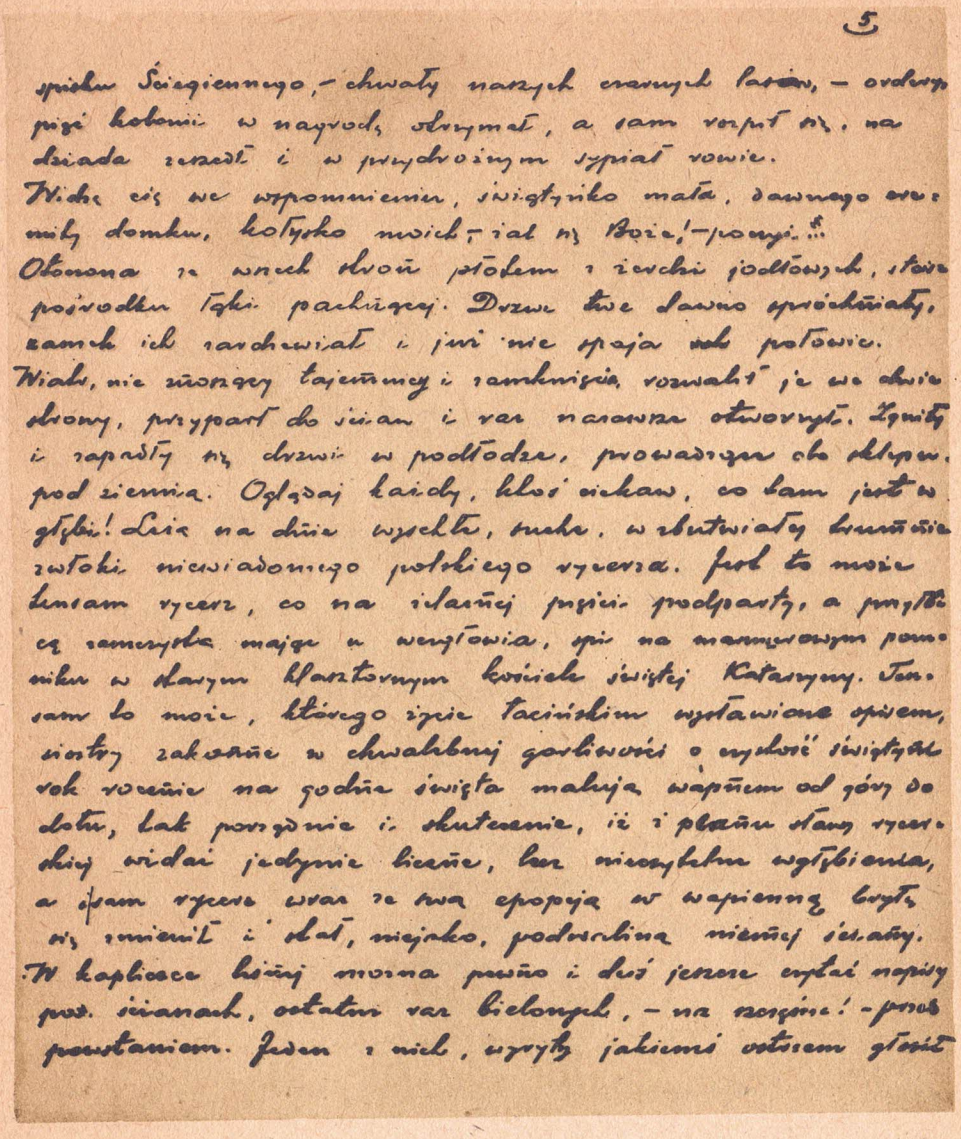

*słowo mało zrozumiałe: „Szczyt moich cierpień zrównał się z tą górą. 1863". Nie było imienia i nie było nazwiska. To jakby ów rok wszystek – 1863 – ostrzem strzaskanego pałasza czy złamanego bagneta na niemym murze, dla nikogo, te słowa wypisał. Obok tego oświadczenia, które się stało osnową pewnej krwawej tragedii, co całkowity brulion za całe czterdzieści groszy wypełniła sobą od deski do deski, widniały wydrapane na murze nazwiska: „Stefan Żeromski, uczeń klasy drugiej" – a niżej, tuż pod tamtym: „Jan Strożecki, uczeń klasy drugiej". O ile ów z roku 1863 zanadto pilnie swe nazwisko zataił, o tyle my dwaj, uczniowie klasy drugiej, czyniliśmy wówczas dla uwiecznienia naszych, co się tylko dało, co było w naszej mocy. Jan Strożecki i później czynił, co się tylko dało, co było w jego mocy: w najsroższy Sybir na wytrwaną z moskiewskim caratem chodził bez trwogi, a potem, po latach walki, we Francji, godnie, jak przystało na towarzysza naszej ławy w kieleckiej szkole, zginął ratując tonącego człowieka. Ale – o, Janku! – jeśli siostry zakonne na któreś Godne Święta odmalują kapliczkę bożą u podnóża Łysicy na leśnym skraju, i twoje jedyne epitaphium, i ślad mej glorii największego poety między Łysicą i Radostową Górą wniwecz pójdzie, w nieme i martwe wapno się zamieni, tak samo jako chwała rycerza w dole. Tylko konwalie i poziomki nie zapomną o wolnych duszach rycerzy. Dookoła starej kaplicy w trawach bujnych woniejąc, pchać się będą, jak zawsze na wiosnę, ku drzwiom roztworzonym, przechylać owoc rubinowy*



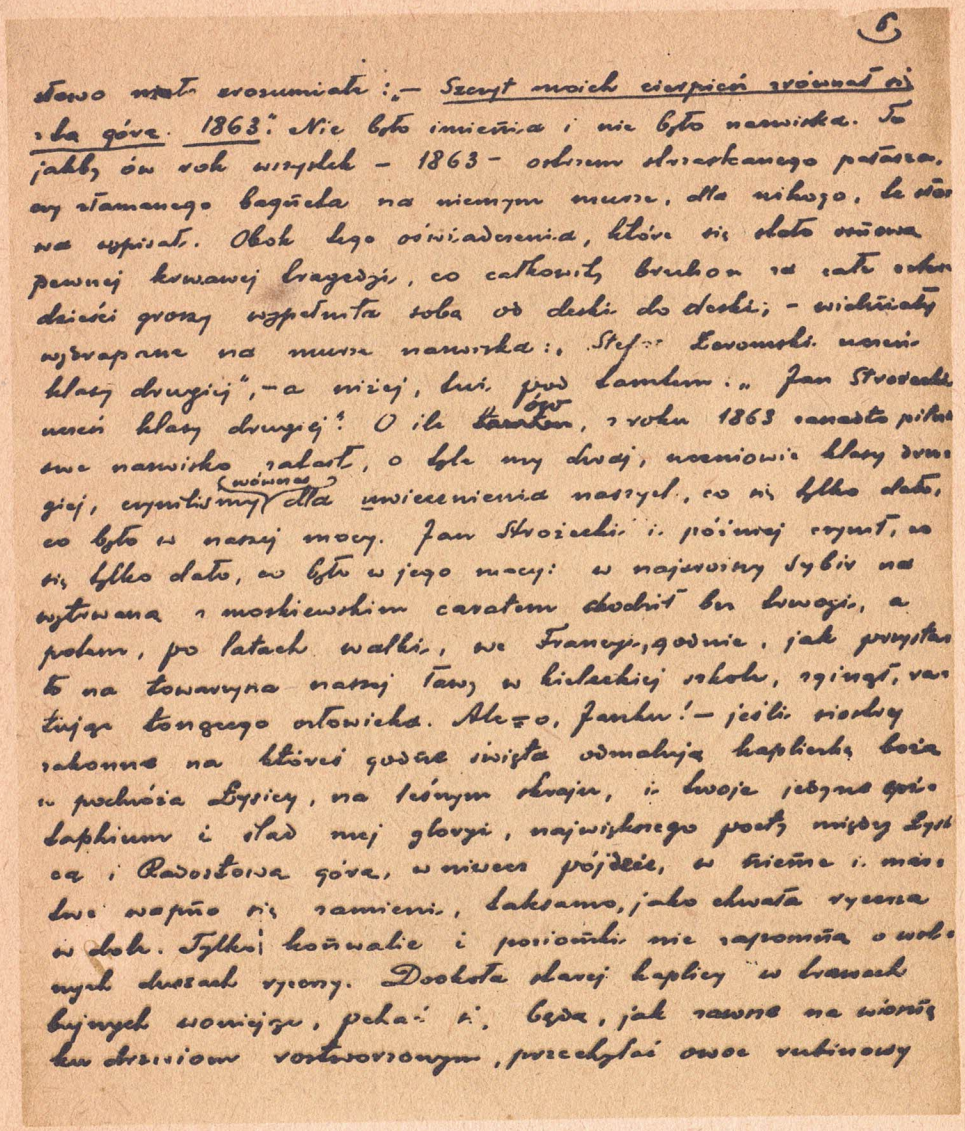

*i kwiaty białe poza próg spróchniały, jakby w zbożnym zamiarze, by bojownikom, zapomnianym przez ludzi, oddać zapach swój, tymian pozgonny.*

*Zdobywanie przestrzeni za dni młodości za pośrednictwem mocy mięśniowej, która tak bez wysiłku dawała sobie radę z odległościami, wycisnęło swój obraz niezatarty na pojmowaniu, a raczej na uprzytomnianiu sobie wszelkich wymiarów. Miarą przestrzeni była i jest dla mnie odległość różnych miejsc w tamtych stronach. Dwie wiorsty – to polna droga z Ciekot do Wilkowa, trzy wiorsty – to gościniec z Krajna do Górna, trzy mile – to linia prosta z Kielc do Świętej Katarzyny. Każda trudna, duża i ciężka praca jakiejkolwiek natury, literacka, biblioteczna czy inna, obrazowo i porównawczo mierzy się w mej wyobraźni, w mej sile mięśniowej i nerwowej na wysokość góry Radostowej. Jestem oto u jej podnóża w Leszczynach, w Mąchocicach, w Bęczkowie – jestem na pierwszym garbie, na drugim, na trzecim – jestem niedaleko wierzchołka – jestem na szczycie! Widzę już mój kres i mój cel: rodzinny dom! Schodzę z rozmachem w dół. Otom już u granicy naszych pól. Widzę drzwi, przekraczam próg... Upadam po trudzie na cichy i radosny spoczynek...*

*Jak ja, tak samo wszyscy dawni ludzie, którzy niegdyś wdzierali się na te góry i przemierzali wielkie lasy, poili się tym samym jedlanym szumem, ten sam zapach wciągali nozdrzami i tym samym czystym powietrzem napełniali płuca. Pierwszy, co wtargnął z oszczepem-li czy z siekierą brą-*





: kwiaty białe poza próg spróchniały, jakby w zbożnym
zamiarze, by bojownikom, zapomnianym przez ludzi oddać za-
pach swój, tymian pozgonny.
Zdobywanie przestrzeni za dni młodości za pośrednictwem mocy mię-
śniowej, która tak bez wysiłku dawała sobie radę z odległościami,
wycisnęło swój obraz niezatarty na pojmowaniu, a raczej na
uprzytomnianiu sobie wszelkich wymiarów. Miarą przestrzeni
była i jest dla mnie odległość różnych miejsc w tamtych
stronach. Dwie wiorsty – to polna droga z Ciekot do Wilko-
wa, trzy wiorsty – to gościniec z Krajna do Górna, trzy
mile – to linia prosta z Kielc do Świętej Katarzyny. Każda
trudna, duża i ciężka praca jakiejkolwiek natury, literac-
ka, biblioteczna, czy inna, obrazowo i porównawczo
mierzy się w mej wyobraźni, w mej sile mięśniowej i nerwo-
wej na wysokość góry Radostowej. Jestem oto u jej podnó-
ża w Leszczynach, w Mąchocicach, w Bęczkowie, – jestem
na pierwszym garbie, na drugim, na trzecim, – jestem
niedaleko wierzchołka, – jestem – na szczycie! Widzę już
mój kres i mój cel: rodzinny dom! Schodzę z rozmachem
w dół. Otom już u granicy naszych pól. Widzę już
drzwi, przekraczam próg... Upadam po trudzie na cichy
i radosny spoczynek...
Jak ja, tak samo wszyscy dawni ludzie, którzy niegdyś wdzierali
li się na te góry i przemierzali wielkie lasy, poili się
tym samym jedlanym szumem, ten sam zapach wciągali
nozdrzami i tym samym czystym powietrzem napełniali pła-
ca. Pierwszy, co wtargnął z oszczepem-li, czy z siekierą brą

*zową w dłoni, z południa, od strony Wiślan, czy z północy, od strony Mazowszan, przyszedł przed czasami, które ima i swoimi sposoby utrwala dla potomnych plotka człowieczа – drżał pewnie w sobie, patrząc struchlałymi oczyma w puszczę Łysicy. Widział bowiem wokół siebie drzewa srogie, zwartym ostępem stojące, wyniosłe, borem niedosięgłym dla szybkolotnego spojrzenia wyległe w dal milami. Lękliwa cześć napełniała jego duszę, gdy mierzył nieznane i niewidziane, grube, obłe, potężne pnie, podarte od przepęknięć i okapane obarami żywicy, na sto łokci wybiegające pod niebo. Krzywymi pazurami korzeni wszczepione między omszałe, sterczące i nawalone skrzyżale, między rumowie, które zwietrzały kwarzec górski wytwarza – spłaszczonymi koronami chwiejące się za wiatrem tam i sam – obwieszone ciemnozielonymi wieńcami igieł ulistwienia – obarczone licznymi ramionami spławów potężnych – pachnące balsamicznym olejem w nasionach zawartym – śpiewały przed nim własny poszum swój, puszczańskie wzdychanie, niemowny śpiew, który wszystko ludzkie zna i wspomina. Z ciemnej lasu głębiny szedł na jego duszę, nastawał i napastował głos dawien-dawny, nieodmienny, głęboki-wysoki, ostrzeżenie i napomnienie, śmiech i płacz, duma zamierająca w pustce głuchej. A skoro zamierała nuta lasowa, wyrywało się z puszczy wycie wilka albo hukanie pochutliwe puchacza i przejmowało serce człowieka straszną bojaźnią. Przychodzień ów tajnią czucia korzył się przed niemymi wielkodrzewami. Chciał zrozumieć wygłos ich, jakoby zagmatwany i zamazany bełkot niemowy – ażeby w nim zna-*





zową w dłoni, z południa, od strony Wiślan, czy z północy, od strony Mazowszan przyszedł przed czasami, które ima i swoimi sposoby utrwala dla potomnych plotka człowieczа, – drżał pewnie w sobie, patrząc struchlałymi oczyma w puszczę Łysicy. Widział bowiem wokół siebie drzewa srogie, zwartym ostępem stojące, wyniosłe, borem niedosięgłym dla szybkolotnego spojrzenia wyległe w dal milami. Lękliwa cześć napełniała jego duszę, gdy mierzył nieznane i niewidziane, grube, obłe, potężne pnie, podarte od przepęknięć i okapane obarami żywicy, na sto łokci wybiegające pod niebo. Krzywymi pazurami korzeni wszczepione między omszałe, sterczące i nawalone skrzyżale, między rumowie, które zwietrzały kwarzec górski wytwarza – spłaszczonymi koronami chwiejące się za wiatrem tam i sam – obwieszone ciemnozielonymi wieńcami igieł ulistwienia, – obarczone licznymi ramionami spławów potężnych, – pachnące balsamicznym olejem, w nasionach zawartym, – śpiewały przed nim własny poszum swój, puszczańskie wzdychanie, niemowny śpiew, który wszystko ludzkie zna i wspomina. Z ciemnej lasu głębiny szedł na jego duszę, nastawał i napastował głos dawien-dawny, nieodmienny, głęboki-wysoki, ostrzeżenie i napomnienie, śmiech i płacz, duma zamierająca w pustce głuchej. A skoro zamierała nuta lasowa, wyrywało się z puszczy wycie wilka, albo hukanie pochutliwe puchacza i przejmowało serce człowieka straszną bojaźnią. Przychodzień ów tajnią czucia korzył się przed niemymi wielkodrzewami. Chciał zrozumieć wygłos ich, jakoby zagmatwany i zamazany bełkot niemowy, – ażeby w nim zna-

leźć odpowiedź na niepewność, tajemniczość i kruchość żywota. Lecz w brzmieniu tym, podnoszącym się z milczenia i odchodzącym w milczenie, wiała nań tylko wiadomość o śmierci nagłej a niespodziewanej. Toteż w trwodze swej wierzył, że w boru tym tai się, kryje i oddycha wiatrem śpiewnym duch wszystkomogący, Świst-Poświst, bożyszcze śmierci.

Przyjacielem mi był za dni młodości tamten pierwszy przychodzień. Lubiłem marzyć, jako się skrada tymi samymi co ja zaroślami, wądołami, w których te same biegną potoki, łaskawością pagórków i niziną mokrych smugów, ażeby polować na bobry brunatne, co na brzegach naszej czarnej rzeki kuliste swe chaty, żeromiona budowały – na puszyste, kasztanowate, wysmukłe i gibkie leśne kuny, których cenne skórki były rodzajem pieniądza – dziesięć na grzywnę – środkiem wymiennym – na niedźwiedzia i wilka, na jelenia i srogiego dzika, co dziesiątkowi kundlów dawał radę, gdy go stanowiły w oparzelisku – na chytrego lisa, na krępego leniwca, czyściocha i ospalca borsuka i na sępa siadującego w widłach największego drzewa w Łysicy. Lubiłem marzyć, jak z kopami skór kunich na ramieniu przemyka się leśnymi ścieżkami, która sam jeden zna, ku Tarżkowi u brzegu rzeczki Świśliny, na skraju lasów, gdzie już do puszczy docierają z dawna karczowane jednolite pola sandomierskiej urodzajnej gliny. Tam to na targowisku starodawnym, jak pamięć ludzka zasięgnie, myśliwce i kłusownicy, ludzie leśni, ludzie dzicy, ludzie waleczni spotykali się z ludźmi z polan i równin pustych, z pól i niw, którzy siali żytnie i pszenne



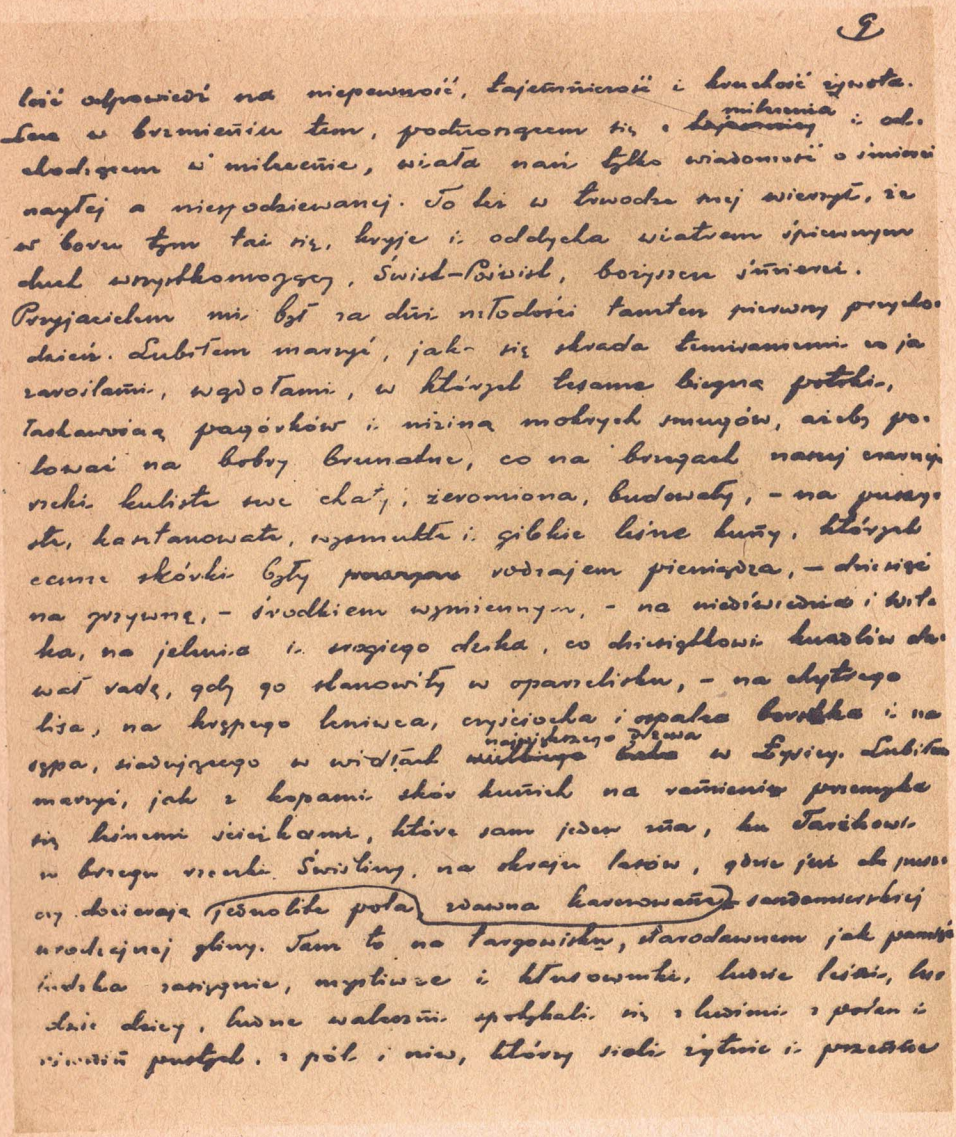

*ziarno, mełli mąkę i umieli szczepić na dziczkach owoc smakowity. W zamian za skóry kunie, borsucze i niedźwiedzie, za wilczury i bobrowe kołnierze dostawali kowane żelazo i rzemień wyprawny, mąkę i sól, słodki owoc i wypalone naczynie.*

*Tam także słuchali wieści o innych światach niż świat czarny. Słuchali wieści o mężach dziwnych, co w Żmigrodzie wznoszą kamienną bożnicę, wodą naród pracowity polewają i uczą miękkich zabobonów. Ludzie puszczy chętnie opuszczali targowisko na Tarżku i szli nazad, ku górom. Witali las radośnie, gdy się z góry najwyższej spadem nagłym osuwa w zimnej doliny otulisko niczym chmura gradowa. A gdy po jego błękitnych przegubach we wnętrzu ciemnym, dla oczu niedosięgłym, obłok biały piął się ku szczytowi wyniosłemu, radowało się bezsłownie serce ich – serce nasze, zawżdy to samo serce ludzi puszczańskich.*

*Kędyś daleko, za Radostową i Kamieniem, w stronie południa było inne targowisko, na wzgórzach, gdzie gródek polskiego króla ludzie wojenni zbudowali. Tam to w podgrodziu goście z obcej strony, kupcy przebiegli, mieli na sprzedaż za skóry kunie broń sieczystą i zmyślne naczynia z żelaza. Z tegoż gródka, na Kielcach wzniesionego, wyszedł węgierski książe Emeryk i poniósł w ręku święty krzyż na Łysiec, gdzie już król polski imieniem Mieczysław, a może Bolesław przezwiskiem Chrobry, a może Krzywousty – zbudował był kościół niewysoki, gruby, sztuką dawną grecką z kamienia postawiony. Tenże król sprowadził dwunastu braci benedyktynów, pochodzeniem i językiem Włochów z góry Kassynu, i w klasztorze na*





ziarno, mełli mąkę i umieli szczepić na dziczkach owoc smakowity. Mannan za skóry kuńie, borsucze i niedźwiedzie, za wilczury i bobrowe kołnierze dostawali kowane żelazo i rzemień wyprawny, mąkę i sól, słodki owoc i wypalone naczynie. Tam także słuchali wieści o innych światach, niż świat czarny. Słuchali wieści o mężach dziwnych, co w Żmigrodzie wznoszą kamienną bożnicę, wodą naród pracowity polewają i uczą miękkich zabobonów. Ludzie puszczy chętnie opuszczali targowisko na Tarżku i szli nazad, ku górom. Witali las radośnie, gdy się z góry najwyższej spadem nagłym osuwa w zimnej doliny otulisko, niczym chmura gradowa. A gdy po jego błękitnych przegubach we wnętrzu ciemnym, dla oczu niedosięgłym, obłok biały piął się ku szczytowi wyniosłemu, radowało się bezsłownie serca ich, – serce nasze, zawżdy tosamo serce ludzi puszczańskich.

Kędyś daleko, za Radostową i Kamieniem, w stronie południa było inne targowisko, na wzgórzach, gdzie gródek polskiego króla ludzie wojenni zbudowali. Tam to, w podgrodziu goście z obcej strony, kupcy przebiegli, mieli na sprzedaż za skóry kuńie broń sieczystą i zmyślne naczynie z żelaza. Z tegoż gródka, na Kielcach wzniesionego wyszedł węgierski książe Emeryk i poniósł w ręku święty krzyż na Łysiec, gdzie już król polski, imieniem Mieczysław, a może Bolesław, przezwiskiem Chrobry, a może Krzywousty, – zbudował był kościół niewysoki, gruby, sztuką dawną grecką z kamienia postawiony. Tenże król sprowadził dwunastu braci benedyktynów, pochodzeniem i językiem Włochów z góry Kassynu i w klasztorze na

*Łyścu osadził. Długo szedł kamienistą i piaszczystą drogą książę węgierski Emeryk w towarzystwie biskupa krakowskiego Lamberta, niosąc ze czcią pięć ułamków Krzyża Świętego wprawionych w złoty krzyż o pięciu ramionach. Srogi lud leśny nie ważył się napastować tych bezbronnych pątników. Ciążyła już nad jego samowolą mocna ręka królewska, a ślady władzy tej zostały w nazwach gór: góra Królewska, góra Książęca. Dopiero teraz, po ośmiu wiekach, podłość zbójów wróciła do swej samowoli. Gdy kule wojny zburzyły wieżę kościoła na Świętym Krzyżu, ręka złodzieja wyłamała święte schronienie i zdarła złote blachy ze szczątków Krzyża, a samo święte drzewo cisnęła kędyś między brud ziemi.*

*Nadszedł był czas, iż książę panujący w Krakowie darował łańcuch gór i błamy lasów krakowskiej biskupiej stolicy. Kasztelanie pobrzeżne w Kielcach i w Tarżku stały się ostojami i siedzibami władzy nowych panów tego przestworu. Powstał w Tarżku – z czasem Tarczkiem przezwanym – dworzec myśliwski biskupi. Tam władcy, którzy niejednokrotnie spychali z tronu królów, zażywali puszczańskich wywczasów. Z gminu nieraz wyrośli, a dzięki cnotom, wiedzy, ogładzie, przebiegłości i znawstwu rzeczy ziemskich, w auzońskich podpatrzonemu krajach, na tak wyniosłe podniesieni siedzisko, stali się dobroczyńcami leśnej ziemi. Tworzyli nowe miasta, jak Kielce i Bodzentyn – wśród dziczy nietrzebionej dźwigali podniebne kolegiaty, wznosili zamki wzorem włoskim zdobione – jakoby wstęgi wysnuwali z potężnych dłoni mury obronne – napełniali miasta rzeszami sztukmistrzów.*





Łyścu osadził. Długo szedł kamienistą i piaszczystą drogą książę węgierski Emeryk w towarzystwie biskupa krakowskiego Lamberta, niosąc ze czcią pięć ułamków Krzyża Świętego wprawionych w złoty krzyż o pięciu ramionach. Srogi lud leśny nie ważył się napastować tych bezbronnych pątników. Ciążyła już nad jego samowolą mocna ręka królewska, a ślady władzy tej zostały w nazwach gór: – góra Królewska, góra Książęca. Dopiero teraz, po ośmiu wiekach, podłość zbójów wróciła do swej samowoli. Gdy kule wojny zburzyły wieżę kościoła na Świętym Krzyżu, ręka złodzieja wyłamała święte schronienie i zdarła złote blachy ze szczątków Krzyża, a samo święte drzewo cisnęła kędyś między brud ziemi.

Nadszedł był czas, iż książę panujący w Krakowie darował łańcuch gór i błamy lasów krakowskiej biskupiej stolicy. Kasztelanie pobrzeżne w Kielcach i w Tarżku stały się ostojami i siedzibami władzy nowych panów tego przestworu. Powstał w Tarżku, – z czasem Tarczkiem przezwanym, – dworzec myśliwski biskupi. Tam władcy, którzy niejednokrotnie spychali z tronu królów, zażywali puszczańskich wywczasów. Z gminu nieraz wyrośli, a dzięki cnotom, wiedzy, ogładzie, przebiegłości i znawstwu rzeczy ziemskich, w auzońskich podpatrzonych krajach, na tak wyniosłe podniesieni siedzisko, stali się dobroczyńcami leśnej ziemi. Tworzyli nowe miasta, jak Kielce i Bodzentyn, – wśród dziczy nietrzebionej dźwigali podniebne kolegiaty, wznosili zamki wzorem włoskim zdobione, – jakoby wstęgi wysnuwali z potężnych dłoni mury obronne, – napełniali miasta rzeszami sztukmistrzów.

*Z górnego i środkowego Ponidzia sprowadzali osadników z siekierą i sochą do trzebienia i karczowania skrajów lasu w pobliżu grodu kieleckiego. Dawali wolę ludowi rolnemu w Woli Kopcowej, Radlinie, Górnie, Leszczynach, Woli Jachowej, Napieńkowie. Trzon wyższy długo jeszcze trwał po staremu. Kiedyś dopiero rolnicy podejdą bliżej, wyrąbią polany, gdzie bielą się Bieliny, ciągną się Porąbki, i wgryzą się w samą Łysicę i Krajno, wiszące na skłonie wysokim. Jak niegdyś niezwyciężeni królowie i potężni krakowscy książęta, tak później polowali tutaj rycerscy biskupi – Lambert, Gedko, Prandota, Bodzanta, Florian Jelitczyk z Mokrzka, Paweł z Przemankowa, Zbigniew z Oleśnicy, Gamrat, Zadzik i inni. Otoczeni zdrowym, wyniosłym, zahartowanym w srogim klimacie, potężnym fizycznie, dzielnym i walecznym narodem górskim, gminem szczwaczów, przebiegłych i czujnych ślakowników zwierza, chytrych, jakoby cuchem psim obdarzonych kłusowników, wśród chartów, ogarów, kundlów na dziki, jamników na lisy i borsuki oraz wszelakiej innej psiarni roznoszącej po szczytach i dolinach echa wrzaskliwe – przebiegali puszczę odziani w pancerz, z oszczepem i łukiem w dłoni. Walczyli pierś w pierś z włochatym niedźwiedziem, rozjuszonym wilkiem i srogim odyńcem, który, ciapiąc groźnie w stanowisku, szarpał kielcami psy i martwe miotał na strony.*

*Tam to spoczywał onego dnia, jak głosiła jedna z powieści, potężny Bodzanta na pochyłości matki-góry. Miękki nasuwień, szatę tkaną wzorzystą miał powierzch napierśnych blach. Zsiadł z konia, runął na ziemię. Skinieniem*



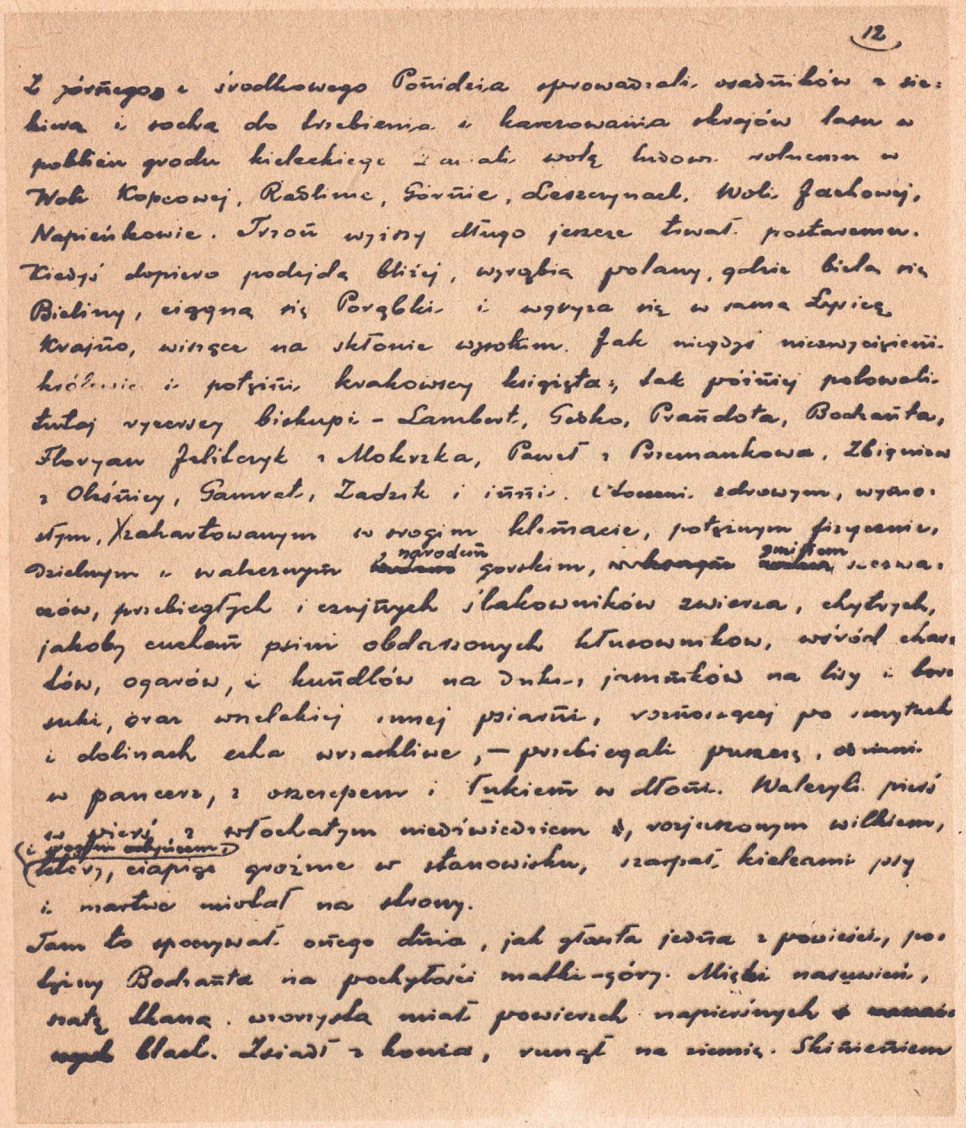

*dłoni odegnał zgrają pochlebców, wesołków, błaznów i wszelakich służalców. Precz kazał zabrać psy na smycze. Z rękoma założonymi pod głowę, z nogami w skórzniach po pachwiny rozwalonymi szeroko, z oczyma zatopionymi w niebie, gdzie białe chmurki sunęły przed przypłaszczonymi głowicami, leżał na wznak. Słuchał, jak jedle niezmierne pieśń mu wywodzą jedyną, której słuchać warto, albowiem nigdy nie wygasa i na sile nie traci – pieśń o przepotędze i zuchwałych żądzach młodości i o zgniłej rozpaczy starości – o pasjach i furiach ducha rozszalałego. Wołały go ku modlitwie lecącej w niebo, gdyż przesmutnym wzdychaniem swoim trwogę poznania wszechrzeczy rzucały w jego sumienie. Wspominały mu lata minione-odpłynione, których nie wróci nikt, nigdy. Wspominały mu tajnice grzechów, w których był skowany jako kłodnik w ciemnicy. Nikto o nich nie wiedział nic, jeno te drzewa. Pobudzały go, ponęcały i powabiały ku czemuści inszemu, nieznanemu. Przyciskał do serca swego pienie ich biskup Bodzanta poprzysięgając je najmocniejszym zaklęciem, ażeby jeszcze śpiewały...*

*W ten to leśny kraj, jeszcze bezludny i nie zabudowany, dziedzinę biskupich łowów, gdzie synowie boru snuli się na wzór zwierząt, tropiąc i zabijając zwierzęta oraz śmiałków, którzy by z jakimkolwiek towarem ośmielili się ciągnąć korzenistym, piaszczystym i mokrym szlakiem z podgrodzia w Kielcach ku podgrodziu Bodzentyna – przybyli jednak nieustraszeni ludzie i między świętokrzyskimi zbójcami, właśnie obok starej drogi na dobre zasiedli. Byli to anachoreci, benedyktyńscy*



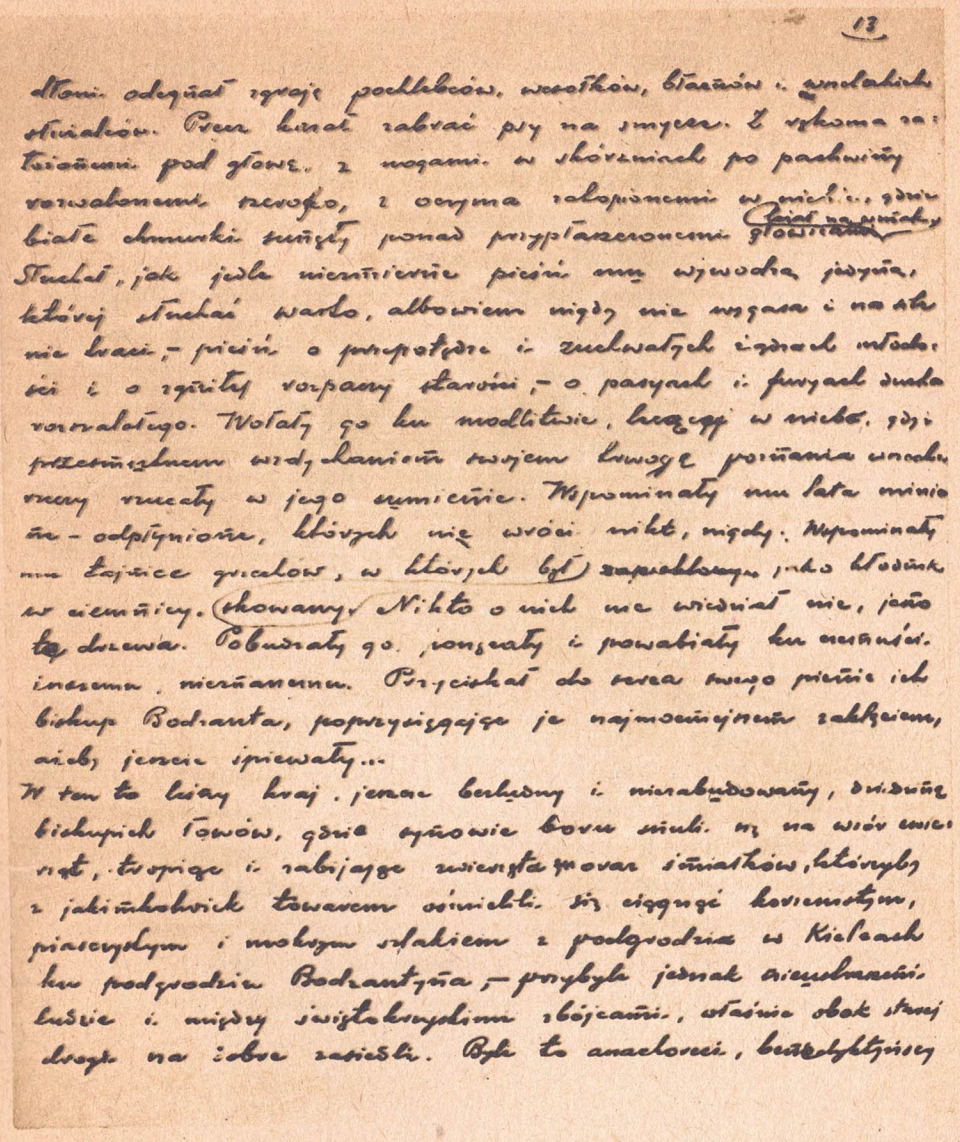

*eremici. Pobudowali sobie małe domki z pniów jodłowych, które wicher z ziemi wyrwał i na trawę obalił. Wyszukiwali miejsca przy wodzie – ten ci przy źródle burzliwym i kipiącym wieczyście, tamten przy strumieniu, co migoce w słońcu, mieni się, połyskuje i błyszczy, a trzeci jeszcze niżej, nad potokiem zarośniętym tarniną, kalinami i gąszczem leśnych malin, gdzie srokosze kują swe dzwonne pieśni, a zatajona kędyś kukułka zabawia się w chowanego.*

*Domki ich do dnia dzisiejszego przetrwały, zamienione na przydrożne kapliczki, gdy eremitów nie stało, pamięć o nich wygasła, i gdy już nikt nie wie, nie pamięta, nie rozumie, czemu to tutaj właśnie stoją te puste chatki boże. Owocześni przybysze nie lękali się niczyjej napaści, gdyż nie posiadali nic zgoła, co by się dało zrabować. Pustelnicy ci prowadzili życie ostre, wstrzymując się po lat kilka, w największe nawet święta, od pokarmów mięsnych, niełatwo przyjmując – i to czasem tylko – jałmużnę. Służyli ludziom ciągnącym tymi stronami poprzez Kamień Kraiński czy brzegiem rzeki – za przewodników i udzielali noclegu zbłąkanym we wielkich lasach. Pierwsi też pewnie rozmawiali z myśliwcami i osadnikami o tajemnicy bytu i śmierci. Gdy pierwszy anachoreta, pono Włoch rodem, przybył w tę puszczę ciemnozieloną, szum jedlany wspominał mu pewnie niebo południa, widok Kampanii neapolitańskiej, błękitne wyspy w błękitnym morzu, widzialne jako skupienie mgły z góry Cassino – albo zachylenie ziemskie najwdzięczniejsze na ziemi, gdzie morze w ląd się*



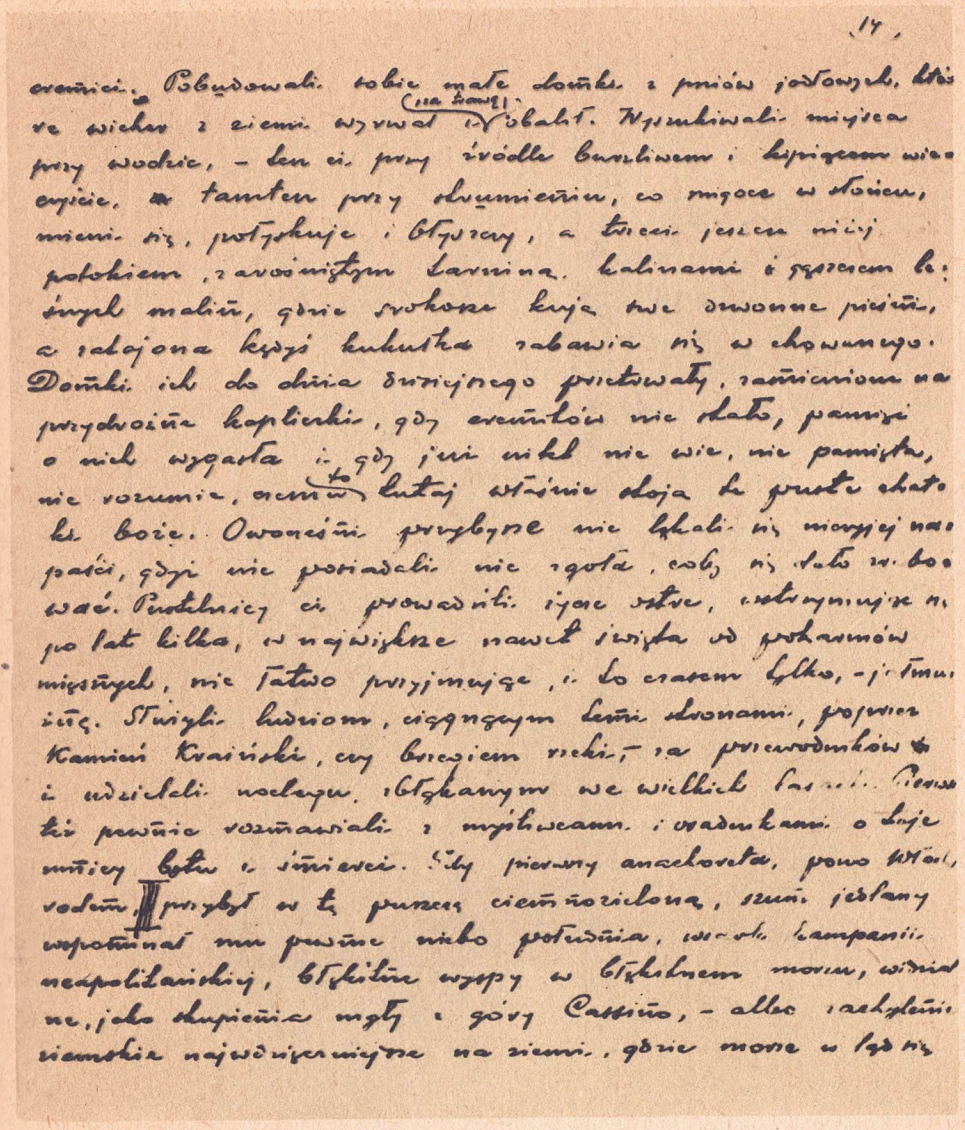

*wlewa obok Santa Margherita Ligure – ul mnichów. Wspominał mu srebrzystość drzewa oliwy, co spływa ku szkarłatom róż w dole, róż, co wydają ze siebie Santa Rosa Mystica – ku drzewom czereśni i migdału, różowiejącym i bielejącym za dni marcowych. Posępnica i żal ogarniały duszę człowieka z tamtych kwietnych i wonnych krain, a dziki mrok lasu północy obcy mu był i wrogi. Lecz siła ducha i niezłomna wola kazała w umartwieniu i modlitwie szukać lekarstwa na posępnicę i żal. Nad jego chatą ciemnozielona puszcza szatański zawodziła świst-poświst i wypędzała go stela. Toteż, gdy nie było już dlań powrotu, uciekał w górę, wyżej, coraz wyżej, ponad żądze cielesne, ponad naturę ludzką, ponad naturę anielską, do wyciągniętych objęć Człowieka-Boga.*

*Być może, iż jeden z tych to anachoretów, co polskiej był krwi i mowy, a szedł z rodu ludzi dostojnych, mówił do zgromadzenia ludzkiego zrozumiałym polskim językiem owo kazanie o świętej Katarzynie, które jest najdawniejszym zabytkiem pisanym tej starej mowy. Istniał-li już wtedy kościołek ku czci tej świętej wzniesiony między eremami? Darowany najprzód zakonowi bernardynów, a później zakonowi sióstr bernardynek, przetrwał stulecia. Siostry zakonne nauczyły lud okolicznych wsi czytać i pisać, robót ręcznych i rzemiosł. Zasadziły za klasztorem swym ogród ozdobny, gdzie lilie najcudniejsze na ziemi zakwitają w czerwcowe niedziele, ażeby zdobić ołtarz wielkiej męczennicy Katarzyny – i gdzie wychylały się ponad*



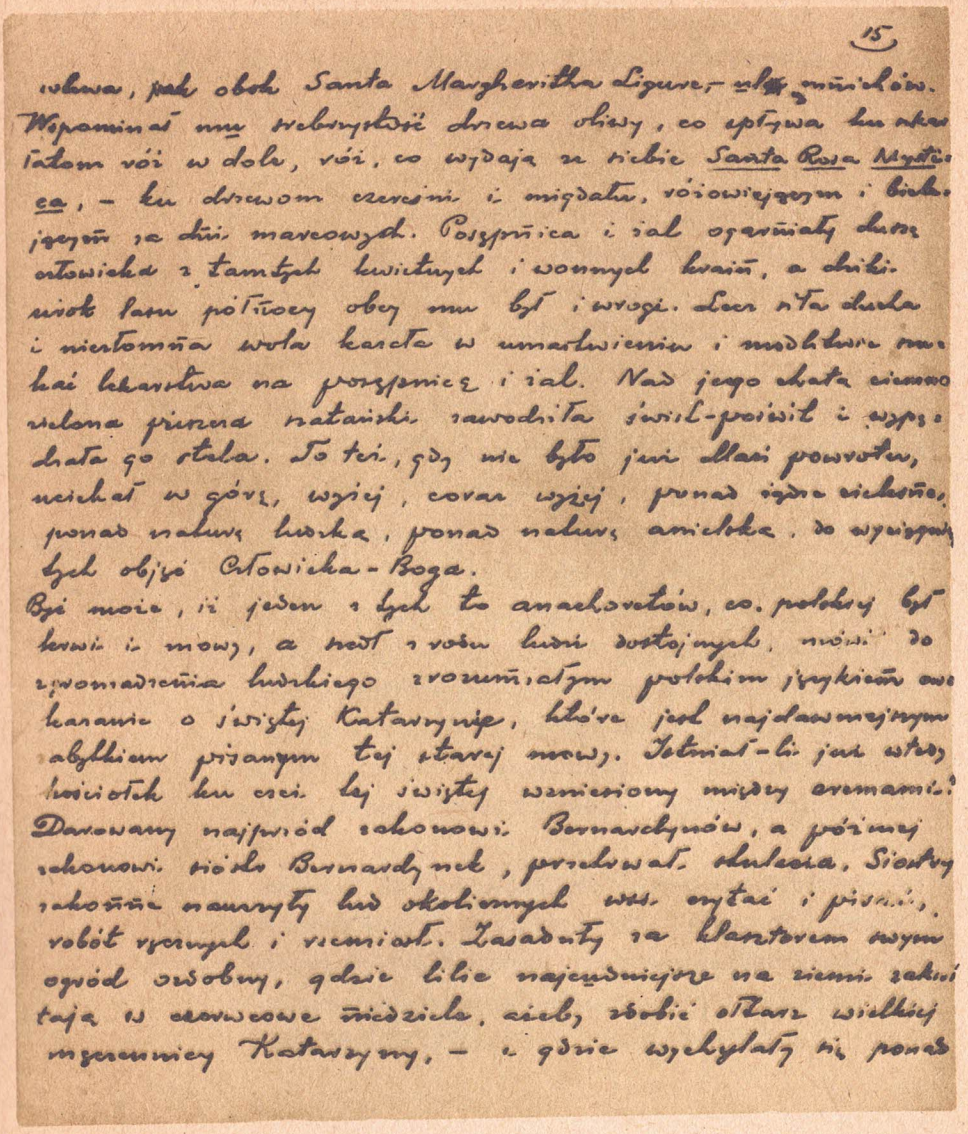
15

wlewa, jak obok Santa Margherita Ligure – ul. mnichów.
Wspominał mu srebrzystość drzewa oliwy, co spływa ku szkar-
łatom róż w dole, róż, co wydają ze siebie Santa Rosa Mysti-
ca, – ku drzewom czereśni i migdału, różowiejącym i biele-
jącym za dni marcowych. Posępnica i żal ogarniały duszę
człowieka z tamtych kwietnych i wonnych krain, a dziki
mrok lasu północy obcy mu był i wrogi. Lecz siła ducha
i niezłomna wola kazała w umartwieniu i modlitwie szu-
kać lekarstwa na posępnicę i żal. Nad jego chatą ciemno-
zielona puszcza szatański zawodziła świst-poświst i wypę-
dzała go stela. Toteż, gdy nie było już dlań powrotu,
uciekał w górę, wyżej, coraz wyżej, ponad żądze cielesne,
ponad naturę ludzką, ponad naturę anielską, do wyciągnię-
tych objęć Człowieka-Boga.
Być może, iż jeden z tych to anachoretów, co polskiej był
krwi i mowy, a szedł z rodu ludzi dostojnych, mówił do
zgromadzenia ludzkiego zrozumiałym polskim językiem owo
kazanie o świętej Katarzynie, które jest najdawniejszym
zabytkiem pisanym tej starej mowy. Istniał-li już wtedy
kościołek ku czci tej świętej wzniesiony między eremami?
Darowany najprzód zakonowi Bernardynów, a później
zakonowi sióstr Bernardynek, przetrwał stulecia. Siostry
zakonne nauczyły lud okolicznych wsi czytać i pisać,
robót ręcznych i rzemiosł. Zasadziły za klasztorem swym
ogród ozdobny, gdzie lilie najcudniejsze na ziemi zakwi-
tają w czerwcowe niedziele, ażeby zdobić ołtarz wielkiej
męczennicy Katarzyny, – i gdzie wychylały się ponad

*mur wysoki kwitnące drzewa jabłoni. Potok, w łożysko ujęty, ze szmerem przelewał swe wody wskróś ogrodu, a wielki, ciemny las trzymał w swym łonie ten rozkwitły wirydarz.*

*Lecz stare bóstwa domowe, leśne i polne nie pomarły. Strzygi i zmory, kostusie i morzyska siedzą u progów, w węgłach i na poddaszach. Zły hasa drogami, czatuje na krzyżowych i wałęsa się wokoło domostw. Mór w złe czasy wlecze się kolejami dróg, choć mu je zagradzają osinowe krzyże. Wiara nie do wytrzebienia, głucha, ciemnonocna, leśna, swoja, skrycie ciągnie się wsiami, kolenijami, co teraz wdarły się aż pod szczyt Radostowej i na samą przełęcz Kamienia, co rozsiadły się, jak Klonów lub Psary, na wyrąbanych polanach boru. Grasują wciąż jeszcze czarownice, cioty i widmy, latają na szczyt Łysicy po tajemnicze zioła, rzucają urok i sprowadzają nieszczęście. Odczyniają wszelakie choroby i uroki nieomylni, rodowici wróże, lecząc starymi sposoby – zamawianiem według formuł dawnych, niezrozumiałych, na podstawie splotów włosów, kawałków odzieży z wisielca, widełek nietoperza, mchu z krzyża na rozstajnej drodze, wody wrzącej, węgli lub chleba.*

*Przyrosły czary nowe. Gdy stary zakonnik, kapelan u Świętej Katarzyny, w czasie podniesienia dźwigał na wysokość oczu ciężką złotą monstrancję i wśród błękitnych dymów kadzidła patrzał w ciżbę, ciasno w kościołku stłoczoną – chowali się jeden za drugiego i kryli twarze w dłoniach*



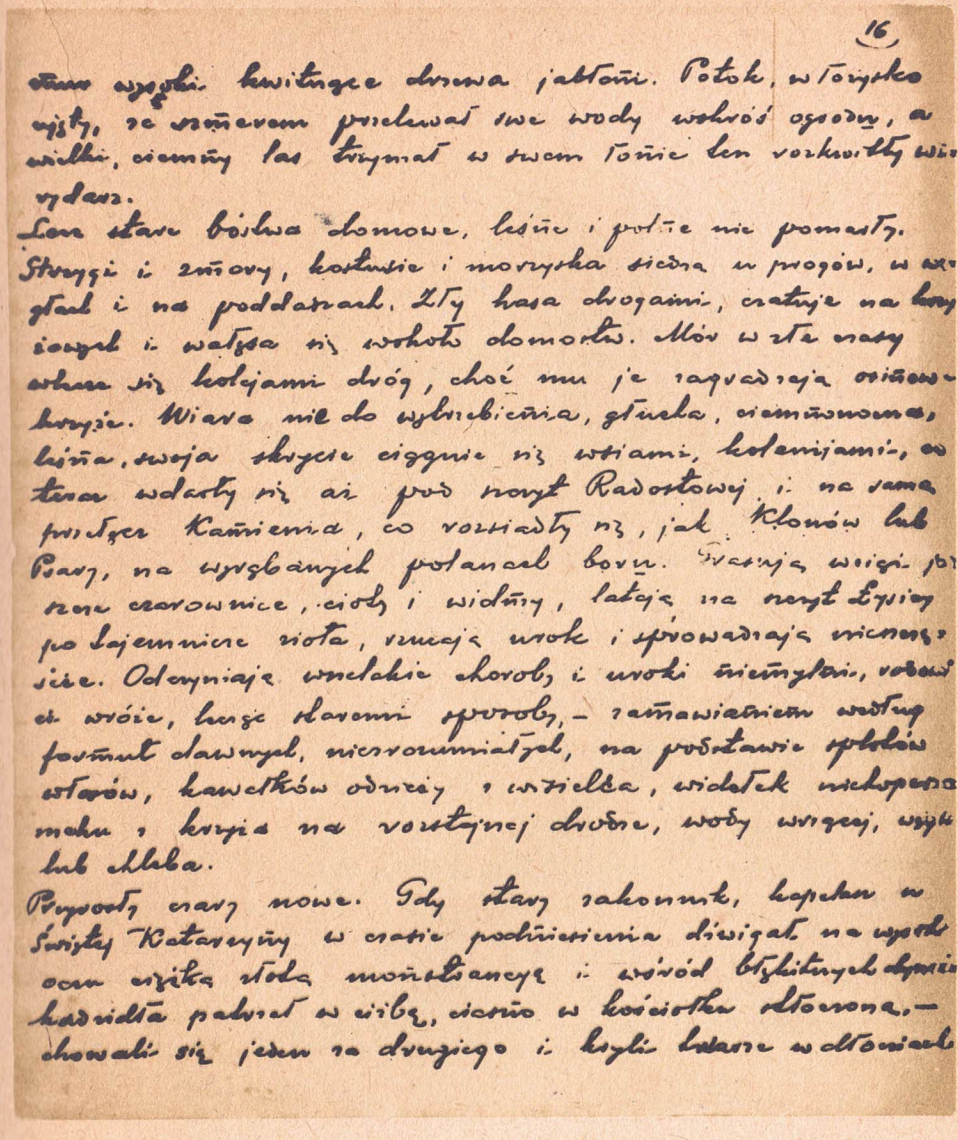



mur wysoki kwitnące drzewa jabłoni. Potok, w łożysko ujęty, ze szmerem przelewał swe wody wskróś ogrodu, a wielki, ciemny las trzymał w swem łonie ten rozkwitły wirydarz.
Lecz stare bóstwa domowe, leśne i polne nie pomarły. Strzygi i zmory, kostusie i morzyska siedzą u progów, w węgłach i na poddaszach. Zły hasa drogami, czatuje na krzyżowych i wałęsa się wokoło domostw. Mór w złe czasy wlecze się kolejami dróg, choć mu je zagradzają osinowe krzyże. Wiara nie do wytrzebienia, głucha, ciemnonocna, leśna, swoja skrycie ciągnie się wsiami, kolenijami, co teraz wdarły się aż pod szczyt Radostowej i na samą przełęcz Kamienia, co rozsiadły się, jak Klonów lub Psary, na wyrąbanych polanach boru. Grasują wciąż jeszcze czarownice, cioty i widmy, latają na szczyt Łysicy po tajemnicze zioła, rzucają urok i sprowadzają nieszczęście. Odczyniają wszelakie choroby i uroki nieomylni, rodowici wróże, lecząc starymi sposoby, – zamawianiem według formuł dawnych, niezrozumiałych, na podstawie splotów włosów, kawałków odzieży z wisielca, widełek nietoperza, mchu z krzyża na rozstajnej drodze, wody wrzącej, węgli lub chleba.
Przyrosły czary nowe. Gdy stary zakonnik, kapelan u Świętej Katarzyny w czasie podniesienia dźwigał na wysokość oczu ciężką złotą monstrancję i wśród błękitnych dymów kadzidła patrzał w ciżbę, ciasno w kościołku stłoczoną, – chowali się jeden za drugiego i kryli twarze w dłoniach

*starzy „chłopcy" świętokrzyskich wiosek, co ta na sumieniu mieli przecie niejedno. Mówili bowiem szeptem najstarsi, że wtedy stary brat Kazimierz przez Przenajświętszy Sakrament widzi każdą zbrodnię ludzką, jak na dłoni. Strach wielkooki szedł między chłopy.*

*A któż ciebie wypowie, co moc twoją uprzytomni, pieśnipotęgo – „Święty Boże, Święty Mocny, Święty a Nieśmiertelny – zmiłuj się nad nami!" – gdy ją ze siebie wyrzucali tłumem, gromadą, wsiami, wtłoczonymi w odwieczny, grubomury, niski, mały kościół Świętej Katarzyny!*

*Prosili się po chłopsku, nisko, u kolan Boga –*

*„Od powietrza, głodu, ognia i wojny – zachowaj nas Panie! – My grzeszni Ciebie Boga prosimy"...*

*Nie wyprosili się od wojny! Przyszła sroga i straszna. Sroższa i czterykroć dłuższa niż samo Powstanie. Jakoby gradowa burza przelatywała z kołatem i łoskotem ponad górami wysokimi i nad niskością chałup. Przychodziły z siekierami podłe Austriaki, żeby ciąć głuche lasy, których nawet bury Moskal nie ważył się tykać. Lecz obroniła się dzika strona swymi wyrwami, kamienistością dróg, wąwozikami górskimi z pieca na łeb, po których nawałnica swego czasu wody puszcza. Nie dosięgły Łysicy!*

*Przyszła znowu na swe miejsca Polska. Nie zamienili Moskale klasztoru Świętej Katarzyny na koszary konnicy, jak to było w ich planie, i nie przyłożył Austriak siekiery do korzenia lasów. Stoi oto wciąż dom boży. Widać ze wszech stron białą jego wieżę w dolinie fiołkowej od lasów, co*



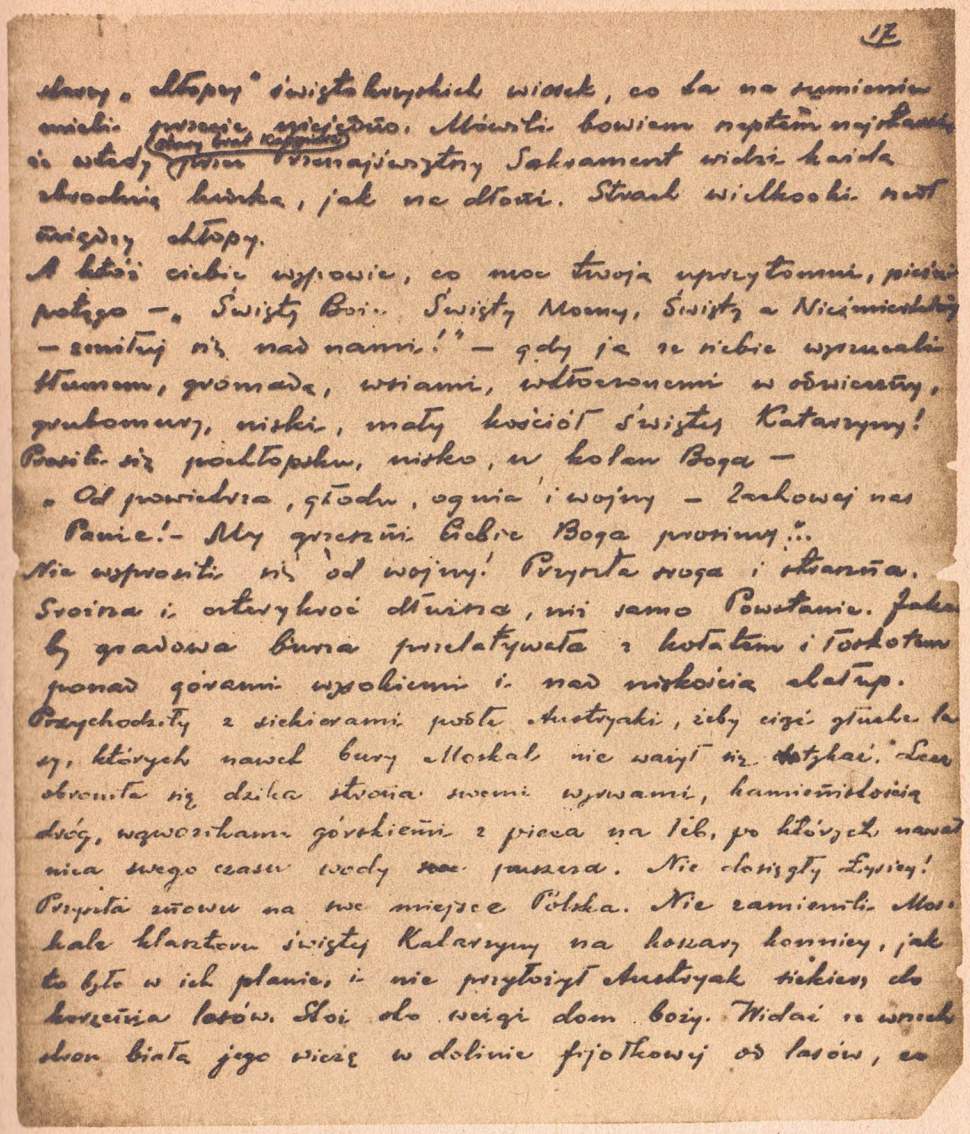

*z dala i z bliska ciągną ku niemu wielkimi pasmami. Jest jakoby zwornikiem, w jedność ujmującym wielorakie pustkowie. Oko przybiega z obszarów i spoczywa na jego białym kształcie, a wyrzeźbiony w źrenicy – zachowuje w sercu na zawsze.*

*Żyj wiecznie, świątnico, ogrodzie lilii, serce lasów! Przeminęły nad tobą czasy złe, zlane ludzką krwią. Ciągną inne, inne. Lecz któż może wiedzieć, czy z plemienia ludzi, gdzie wszystko jest zmienne i niewiadome, nie wyjdą znowu drwale z siekierami, ażeby ściąć do korzenia macierz jodłową na podstawie nowego prawa, w interesie jakiegoś handlu lub czyjegoś niezbędnego zysku. Jakie bądź byłoby prawo, czyjekolwiek by było, do tych przyszłych barbarzyńców poprzez wszystkie czasy wołam z krzykiem: nie pozwalam! Puszcza królewska, książęca, biskupia, świętokrzyska, chłopska ma zostać na wieki wieków jako las nietykalny, siedlisko bożyszcz starych, po którym święty jeleń chodzi – jako ucieczka anachoretów, wielki oddech ziemi i żywa pieśń wieczności.*

*Puszcza jest niczyja; nie moja ani twoja, ani nasza, jeno boża, święta!*

*Stefan Żeromski*



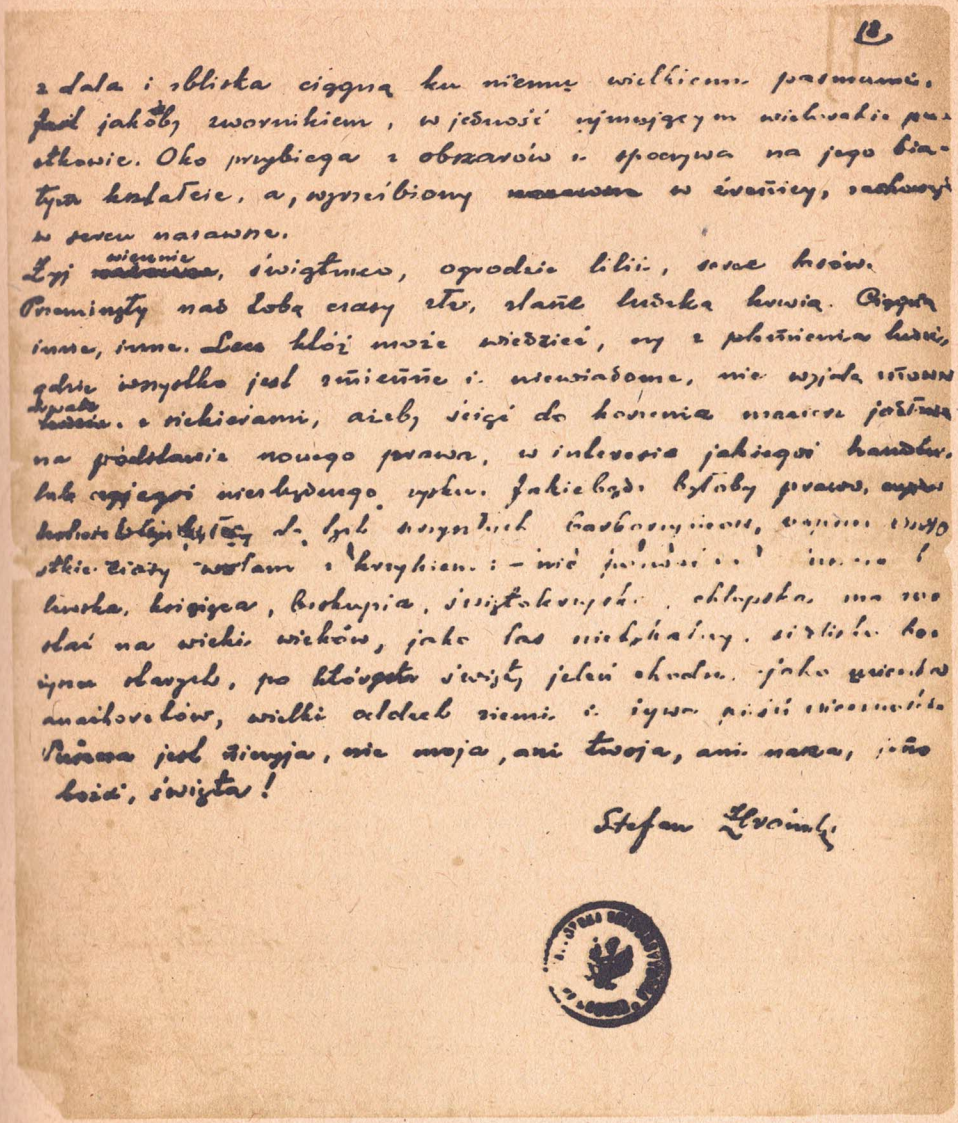

## Nota edytorska

Napisana w 1924 roku *Puszcza jodłowa* ma bardzo krótką historię wydawniczą. Pod koniec 1924 roku wydrukowana została w Warszawie w *Almanachu „Biblioteki Polskiej"* na rok 1925; była to pierwsza i zarazem ostatnia za życia autora publikacja *Puszczy jodłowej*.

W tym wydaniu tekst utworu w niektórych szczegółach odbiega od zachowanego autorskiego czystopisu, różnice są jednak i nieliczne, i bardzo drobne. Na przykład w zdaniu „Przebiegam [...] Strawczaną, Bukową, Klonową i Stróżnę" (s. 10 w. 7) w druku pojawił się biernik „Stróżną"; zamiast „zeszedł" (s. 18 w. 3) wydrukowano „zszedł"; zamiast „we dwie strony" (s. 18 w. 9) – „we dwie duże strony"; zamiast „Strożecki" (s. 20 w. 9) – „Stróżecki"; zamiast „u granicy naszych pól" (s. 22 w. 20) – „w granicy naszych pól"; zamiast „bojownikom zapomnianym przez ludzi" (s. 22 w. 2) – oczywiście błędne „bojownikom zapomnianych przez ludzi"; zamiast „ku szczytowi wyniosłemu" (s. 28 w. 13) – „ku szczytowi wzniosłemu" itd., itd. Wszystkie te odstępstwa od autografu sprawiają wrażenie bądź to zwyczajnych błędów zecerskich, bądź omyłek wynikających z niewłaściwego odczytania rękopisu. Nie ma podstaw do przypuszczeń, że owe zmiany zostały wprowadzone przez autora – na przykład w korekcie. Nie było wówczas zwyczaju, by autor parał się korektą utworu drukowanego w czasopiśmie czy almanachu; w każdym razie w tamtym czasie nie leżało to w autorskich zwyczajach Żeromskiego. Przeciwko przypuszczeniu o udziale autora w zmianach przemawia także ich charakter. Kto jak kto, ale Żeromski na pewno nie zmieniłby nazwiska „Strożecki" na „Stróżecki".

Samodzielne wydanie książkowe *Puszczy jodłowej* ukazało się w roku 1926, a więc już po śmierci autora, jednakże na tyle wcześnie, iż Żeromski mógł jeszcze zdążyć skontrolować i poprawić tekst swego utworu do tej edycji. Mógł poprawić, ale czy uczynił to?

W wydaniu książkowym poprawiono w kilku miejscach ewidentne błędy pierwodruku i przywrócono w tych miejscach tekstowi takie samo brzmienie, jakie miał w autografie; przywrócono więc „Stróżnę", „dwie strony", „Strożecki", „bojownikom zapomnianym", ale jednocześnie utrzymano niektóre inne odstępstwa od autografu (na przykład „w granicy", „ku szczytowi wzniosłemu"). Wynika stąd, iż tekst wydania książkowego oparto nie na rękopisie, lecz na pierwodruku w *Almanachu „Biblioteki Polskiej"*; za domysłem takim przemawia także identyczne akapitowe rozczłonowanie tekstu *Puszczy jodłowej* w *Almanachu* i wydaniu książkowym.

Zmiany tekstowe w edycji książkowej obejmują jednak nie tylko usunięcie oczywistych omyłek drukarskich; pojawiły się tutaj także inne odstępstwa od tekstu z *Almanachu*, odstępstwa, które bez wątpienia są zamierzonymi ingerencjami.



W zdaniu „Kiedyś dopiero podejdą bliżej" (s. 32 w. 6) dodany został podmiot; zdanie to otrzymało brzmienie: „Kiedyś dopiero rolnicy podejdą bliżej"; podobna poprawka pojawiła się także w zdaniu: „gdy nie było już dlań powrotu, uciekał w górę" (s. 38 w. 11) – w wydaniu książkowym brzmi ono: „gdy nie było już dlań powrotu, przychodzień uciekał w górę". Także niektóre inne zmiany są efektem świadomego poprawiania tekstu – na przykład zamiana „srebrzystość drzewa oliwy, co spływa" (s. 38 w. 2) na „srebrzystość drzewa oliwy spływającą".

Obok innowacji tego typu w tekście wydania książkowego występują zmiany, które mogły pojawić się w wyniku zamierzonego działania, ale które także – równie dobrze – można traktować jako omyłki drukarza. W tej grupie mieszczą się nieliczne przypadki opuszczenia wyrazów: zmiana „mur wysoki" (s. 40 w. 1) na „mur", usunięcie przymiotnika „żywa" z „żywa pieśń wieczności" (s. 44 w. 18) czy pominięcie „Święty Boże" w przytaczanej pieśni „Święty Boże, Święty Mocny" (s. 42 w. 7). Do tej grupy trzeba zaliczyć takie przekształcenia tekstu, jak wprowadzenie czasownika „zarumienił" (s. 14 w. 21) w miejsce „zrumienił"; „Z ciemnej lasu gęstwiny" (s. 24 w. 19) w miejsce „Z ciemnej lasu głębiny" czy zmiana „z polan i równin pustych" (s. 26 w. 27) na „z pól i równin polskich".

Jak więc widać, zmiany tekstowe w wydaniu książkowym są i dość liczne, i różnorodne. Moment wydania książki wyklucza, jak się wydaje, udział autora w korekcie, mógł jednak Żeromski nanieść poprawki na pierwodruku *Almanachu „Biblioteki Polskiej"* i ten poprawiony przezeń tekst mógł stać się podstawą wydania w roku 1926. Do takiego rozumowania skłaniał się Stanisław Pigoń, który w przygotowywanych przez siebie wydaniach utworów Żeromskiego tekst *Puszczy jodłowej* przejmował właśnie za wydaniem z roku 1926.

Decyzja taka i wynikająca z niej praktyka edytorska budzi jednak wątpliwość – przede wszystkim z tego względu, że zmiany w wydaniu książkowym z roku 1926 tekst pogarszają. Opuszczenia poszczególnych określeń zubożają utwór, a zmiany stylistyczne („zarumienił" w miejsce „zrumienił", „gęstwiny" w miejsce „głębiny", „spływająca" w miejsce „co spływa") wyraźnie banalizują język, zastępują bowiem określenia rzadkie i wyszukane – pospolitymi i potocznymi. Trudno zgodzić się z przypuszczeniem, że tego rodzaju przeinaczenia tekstu wyszły spod pióra Żeromskiego.

Tylko dwie przytoczone wyżej amplifikacje tekstu mogłyby przemawiać za autorskim charakterem zmian w wydaniu z roku 1926, ale i co do tego można mieć wątpliwości. Druga z owych amplifikacji – dodanie podmiotu „przychodzień" – wydaje się zupełnie niekonieczna; tekst i bez niej jest jasny i zrozumiały. Wprawdzie sam rzeczownik „przychodzień" występuje w tekstach Żeromskiego często i jest dla jego języka charakterystyczny, ale dla stylu Żeromskiego znamienne jest także budowanie szeregu zdań z jednym podmiotem domyślnym. Więc i brak owego „przychodnia" pozostaje – jak wolno mniemać – w zgodzie z upodobaniami językowymi autora.

Niezbędna wydaje się natomiast amplifikacja pierwsza. Zdanie „Kiedyś dopiero podejdą" (s. 32 w. 6) wymaga podmiotu, wymaga jednak w sposób tak oczywisty, iż podmiot ten („rolnicy") mógł zostać dodany niekonieczne przez autora. Takie uzupełnienie „nie wymagało" aż autorskich kompetencji.

Wydaje się, że nie ma podstaw do przypuszczenia, iż zmiany tekstowe w wydaniu książkowym *Puszczy jodłowej* z roku 1926 mają charakter autorski, a ponieważ także druk w *Almanachu „Biblioteki Polskiej"* odbywał się najprawdopodobniej bez kontroli ze strony Że-

romskiego, podstawą tekstową *Puszczy jodłowej* w obecnym wydaniu jest autorski czystopis znajdujący się w Bibliotece Uniwersyteckiej we Lwowie, czystopis, do którego Stanisław Pigoń nie miał dostępu.

Ponieważ jednak rękopis nie jest wolny od błędów pióra, zachodzi konieczność poprawienia tekstu w trzech miejscach.

I tak: „zmyślne naczynie z żelaza" (s. 28 w. 20) zmienia się na „zmyślne naczynia z żelaza", gdyż w kontekście nieodzowna wydaje się liczba mnoga; niezręczne i niejasne bez podmiotu „Kiedyś dopiero podejdą bliżej" (s. 32 w. 7) uzupełnia się (jak w wydaniu z roku 1926) podmiotem „rolnicy"; „w samą Łysicę Krajno" (s. 32 w. 8) zgodnie z realiami geograficznymi poprawia się na „w samą Łysicę i Krajno".

Modernizuje się także, rzecz jasna, ortografię i interpunkcję.



6
R.142